

Krótką drogą od książki do człowieka

⇒ **Ula Rybicka, redaktor naczelna**

Być może największą wartością Literackiego Sopotu jest jego transgresyjność – literatura stoi tu na podium, lecz nie jest sama. Spotkania wokół książek są pretekstem do rozmowy o społeczeństwie, kulturze i polityce, w końcu – o nas samych i naszym miejscu w świecie. Tak jak fala po kamieniu wrzuconym do wody zatacza coraz szersze kręgi, literacka metafora jest punktem wyjścia do dyskusji dalece wykraczających poza ramy kultury i sztuki.

Tegoroczna edycja festiwalu była skoncentrowana na sile kobiet. Zagadnienia poruszane w Sopocie rozpatrywaliśmy wielotorowo: poczynawszy od spojrzenia wstecz na walkę o ich prawa, poprzez czasy współczesne i wyzwania codzienności, aż po refleksję dotyczącą przyszłości. Podczas gdy krytyczna ocena społeczeństw patriarchalnych jest jak najbardziej uzasadniona, nie wolno nam zapominać o jednym – walczymy o równość. O dobre i kompetentne społeczności, w których nikt nikomu nie musi udowadniać swojej wyższości. Gdzie to nie płeć, nie kolor skóry, nie wyznanie jest głównym wyznacznikiem tożsamości. Nie spuszczajmy zatem z oczu celu jedyne i ważne dla nas wszystkich: człowieczeństwa.

Życzę wszystkim czytelniczkom i czytelnikom „Literackiej”, by inspirowani fantastycznymi lekturami prezentowanymi podczas Literackiego Sopotu uczyli się od mistrzów pióra lekcji najważniejszej – że powinniśmy burzyć mury, a nie je budować.

”

Literacka metafora jest punktem wyjścia do dyskusji dalece wykraczających poza ramy kultury i sztuki.



Redakcja „Literackiej”, fot. Bogna Kociumbas

Do ostatniej książki będę pisać o wierze i miłości – spotkanie z Sarah Perry

⇒ **Dominika Prais**

W tym roku na półki polskich księgarń trafiła powieść Sarah Perry *Wąż z Essex*. Książka, choć opowiada o wydarzeniach osadzonych w przeszłości i nawiązuje do tradycji wiktoriańskiej, skupia się na tematach uniwersalnych: różnych odcieniach miłości i religijności. Stała się też przyczynkiem do rozmowy, którą z autorką przeprowadziła Sylwia Chutnik.

Akcja powieści rozgrywa się pod koniec XIX wieku. Pokazuje losy Cory Seaborn, która po śmierci męża przeprowadza się wraz z synem do tytułowego Essex. W tym samym czasie miasto obiega plotka o powrocie mitycznego węża. Bohaterka postanawia więc rozwikłać zagadkę tajemniczego zwierzęcia.

Nie pytaj mnie o okładkę

– Przed spotkaniem śmiałyśmy się, że każdy pisarz ma żelazny zestaw pytań, których nie powinno mu się zadawać. Gdy poprosiłam Sarah o ich wymienienie, ku mojemu zdumieniu wskazała to, które zamierzałam

jej zadać jako pierwsze. A było to pytanie o okładkę – przyznaje Sylwia Chutnik. W przypadku *Węża z Essex* wydaje się ono jednak w pełni uzasadnione. Zarówno w wydaniu angielskim, jak i polskim widnieje na niej wąż wyłaniający się spod pięknych kwiatów. – Zawsze istnieje ryzyko, że na okładce książki historycznej napisanej przez kobietę znajdzie się dama siedząca w gorsecie przed kominkiem. Gdyby coś takiego mi się przydarzyło, pewnie naładowałabym kamieni do kieszeni i rzuciła się do Tamizy, bo to by zupełnie zrujnowało mój pomysł. Dlatego jestem wdzięczna, że ta okładka nie jest genderowo wynaturzona – mówi Perry. Na pytanie, czy to właśnie wąż jest pierwszoplanowym bohaterem jej powieści, odpowiada: – On jest zawsze ukryty w książce. Symbolizuje tajemne strachy i obawy czytelników.

Piszę gotycko? Przeraziłam się

Sylwia Chutnik zauważa, że *Wąż z Essex* czerpie z tradycji powieści wiktoriańskiej i gotyckiej, której badaniu Perry poświęciła się w swojej działalności naukowej. – Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, ku mojemu wielkiemu przerażeniu, że mogę być pisarką gotycką podczas pracy nad doktoratem, gdy mój promotor stwierdził, że piszę gotycko. Pomyślałam, że jestem zbyt inteligentna na tego typu powieści, bo kojarzyły mi się z mało wzniosłymi tematami. Zaczęłam jednak zgłębiać ten gatunek i doszłam do wniosku, że ciekawym pomysłem jest wykorzystanie jego formy do przetworzenia ludzkich dążeń, pragnień – przyznaje Perry.

Powieść wiktoriańska? Prawie

Pisarka nie w pełni zgadza się jednak z sytuowaniem jej książki w kręgu literatury wiktoriańskiej. – Powiedziabym raczej, że moja powieść jest prawie wiktoriańska. Są książki, na przykład *Kochanica Francuza*, w której ludzie z epoki wiktoriańskiej byli opisywani jako zupełnie inni



fot. Bogna Kociumbas

od nas. W *Węzu z Essex* chciałam zrobić coś zupełnie przeciwnego. Pokazać, że kobiety z tamtych czasów wcale nie były zamknięte w klatkach, a miały ważny wpływ na to, co się wokół nich dzieje – wyjaśnia Perry.

Feminizm. Jestem wściekła, jak błędnie się go przedstawia

Odzierając swoje postaci ze stereotypowego wizerunku, autorka zajmuje głos w dyskusji na temat feminizmu, który, jak zauważa Sylwia Chutnik, nie zaczął się wcale w latach siedemdziesiątych XX wieku. – Jestem w stanie wrzącej wściekłości, gdy uświadamiam sobie, jak błędnie przedstawiany jest feminizm i jego początki. Dlaczego pozwolono nam wierzyć, że sprawczość kobiet powstała dopiero niedawno? Przecież Brytyjki mogły głosować od 1840 roku i studiować medycynę od 1870 roku. Wśród nich były także matematyczki, astronomki, mechaniczki – mówi Perry. Główna bohaterka jej powieści jest typem racjonalistki i intelektualistki, nieprzesadnie dbającej o swój wygląd zewnętrzny. To postać autentyczna, stworzona jako narzędzie do rozwinięcia powieściowego wątku i odpowiedzi na pytania, które były ważne dla autorki, takie jak wiara i bliskość. – Starałam się, żeby w tej książce kobieta rozumu spotkała się z mężczyzną wiary – wyjaśnia.

Między tradycją religijną a zabobonem

Religia jest kolejnym ważnym wątkiem w jej powieści. Sama Perry dorastała w grupie sekty religijnej o bardzo rygorystycznych regułach. Teraz określa się jako osobę postreligijną, nieprzynależącą do żadnej grupy wyznaniowej, ale jednocześnie niezdolną do ateizmu. W swojej powieści zadaje pytanie o granicę przebiegającą między usankcjonowanymi praktykami religijnymi, a zabobonem. – Czym różni się dwa tysiące osób zgromadzonych na mszy świętej od grupy dziewcząt wierzących w zabobon? – pyta. – Myślę, że to tradycja

uświęca pewne przekonania i zachowania religijne i wydobywa je ze sfery zabobonu.

Wąż z Essex to z pewnością nie jej ostatnia książka, która podejmuje temat wiary i miłości. – Będę o tym pisać aż do późnej starości – zapowiada. Pisarka obecnie pracuje nad książką o astrofizyce. – Uczę się o kometach, orbitach i pyłe kosmicznej. To teraz moja pasja. Jest wpisana w moje DNA – przyznaje.

”

Starałam się, żeby w tej książce kobieta rozumu spotkała się z mężczyzną wiary.



fot. Bogna Kociumbas

Wierzę w moc literatury – rozmowa z Érikiem-Emmanuelem Schmittem

⇒ **Dominika Prais**

Jego powieści zostały przetłumaczone na 40 języków, a sztuki teatralne wystawione w ponad 50 krajach. Za tymi liczbami kryje się wyjątkowy talent, który czyni z Érika-Emmanuela Schmitta jednego z najpopularniejszych francuskich autorów. W rozmowie wyznaje, jakie wartości niesie ze sobą literatura i czy może zmienić człowieka.

Dominika Prais: We wstępie do powieści *Madame Pylin-ska i sekret Chopina* napisał pan, że spotkania z tytułową bohaterką były dla pana lekcją życia. Mam wrażenie, że tym samym pana książka stała się dla czytelników. Czy takie jest podstawowe zadanie literatury – uczyć życia?
Éric-Emmanuel Schmitt: Moim zdaniem książka nie może być tylko rozrywką. Musi być użyteczna. Musi skłaniać czytelnika do refleksji, budzić w nim emocje, pomagać mu lepiej żyć. Wierzę w filozoficzną funkcję literatury. Rzeczywiście, jest ona dla mnie nauką życia.

Podobną rolę pełnią dzisiaj książki poradnikowe, od których roi się na półkach księgarń. Nie zaryzykowałabym jednak zrównania ich pod tym względem z dziełami literackimi. Doprecyzujmy zatem, w jaki sposób literatura piękna realizuje swoją funkcję?

Myślę, że fikcja literacka ma przewagę nad różnego typu poradnikami czy nawet książkami z dziedziny czystej filozofii. W odróżnieniu od nich jest bowiem uzbrojona w empatię, miłość, emocje, które mogą otworzyć duszę i serce czytelnika, czego nigdy nie byłby w stanie dokończyć żaden esej filozoficzny czy książka poradnikowa. Dla przykładu, w mojej najbardziej poczytnej powieści, nie wiem, czy w Polsce, ale na pewno w innych krajach, *Pan Ibrahim i kwiaty Koranu*, opowiadam o tolerancji. Jeśli napisałbym esej na ten temat, kto by go przeczytał? Pięćset osób w bibliotekach uniwersyteckich? Stworzyłem więc historię z konkretnymi bohaterami, która może wzbudzić w czytelnikach szacunek dla inności. Naprawdę wierzę w moc literatury.

”

Literatura idzie pod prąd obowiązującym dyskursom, wartościom, sposobom myślenia, jakie próbuje narzucić ludziom władza.



fot. Bogna Kociumbas

Dlatego pisze pan o wartościach, o które dzisiaj trzeba się szczególnie głośno dopominać?

Literatura idzie pod prąd obowiązującym dyskursom, wartościom, sposobom myślenia, jakie próbuje narzucić ludziom władza. Jest wciąż na marginesie, ale to właśnie czyni ją silną. Jej znaczenie dobrze rozumieją tyrani i dyktatorzy, dużo bardziej niż umiarkowani współcześni politycy. To oni przecież palą biblioteki i wypędzają z kraju pisarzy. Literatura ukazuje bowiem zjawiska rzeczywistości w całej ich złożoności. Jako pisarz wiem to ze swojego doświadczenia. Gdy zaczynam tworzyć opowieść, moje myśli unikają gotowych twierdzeń, są raczej nastawione na zadawanie pytań i szukanie odpowiedzi. Literatura staje się także dla czytelnika przestrzenią wolności, w której oddaje się on refleksji i dystansuje od pewników, jakimi karmi się społeczeństwo. Człowiek od początku swojego istnienia potrzebował opowieści. A wszystkie opowieści, mitologie czy nawet teksty religijne, niosą w sobie sprzeczności i dwuznaczności.

Literatura jest nam potrzebna również po to, aby przekonać się, że łączą nas z innymi podobne potrzeby i doświadczenia?

W książce *Madame Pylinska i sekret Chopina* tytułowa bohaterka była nauczycielką gry na fortepianie, ale ktoś inny mógłby rozpoznać w niej swojego trenera judo czy profesora od francuskiego. Tym, co łączy ludzi, jest coś, co nazywam „braterstwem pytań”. Oznacza to, że wszyscy zadajemy sobie te same pytania, choć znajdujemy na nie inne odpowiedzi. Myślę, że literatura świetnie to pokazuje, bo przybliża nas do siebie i odpowiada nam na to, o co wszyscy pytamy: jak żyć, jak kochać. Kiedy piszę, zamieniam się w kogoś innego i kiedy czytam, również wchodzę w skórę bohatera. Dla przykładu, gdy sięgam po polską książkę, staję się Polakiem i dostrzegam, że, mimo różnic, łączą mnie z nim wspólne cechy. Doświadczam jednocześnie tożsamości i odmienności. To przeżycie

czystego braterstwa, które jest dla mnie ogromnie ważne.

Pisząc, wielokrotnie staje się pan także kobietą, a siebie określa jako feministę. Co oznacza dla pana feminizm?

Feminizm nie jest pytaniem o płęć. Jest pytaniem filozoficznym. Nie zakłada bowiem tożsamości płciowej, ale równość praw kobiet i mężczyzn. Od zawsze byłem feministą zafascynowanym kobiecością. Interesuje mnie jej złożoność. Doskonale wiemy, że gdy kobieta mówi tak, równie dobrze to może oznaczać nie i odwrotnie. W mojej pracy uwielbiam przyjmować kobiety punkt widzenia, uwielbiam patrzeć na świat okiem kobiet, ponieważ dostrzegam wtedy inne rzeczy niż mężczyzna. Dzięki literaturze mogę stać się kobietą i, w przeciwieństwie do operacji chirurgicznej, jest to zabieg odwracalny (*śmiech*). Na początku swojej drogi pisarskiej nie miałem jednak odwagi się mu poddawać. Dopiero kiedy zacząłem pisać sztuki teatralne, zostałem zmuszony do kreowania postaci kobiecych, a później kontynuowałem to w powieściach.

Skąd w panu tak duża wrażliwość i zrozumienie kobiecej natury?

Myślę, że mają one swoje źródła w dzieciństwie. Został we mnie pierwiastek dziecięcy, który wiąże się z ogromną wrażliwością, skłonnością do silnego odczuwania i przeżywania tego, co niesie życie. Dużą rolę odegrała również bardzo silna i głęboka relacja z moją mamą, która zmarła dwa lata temu. Sprawiała, że nie stałem się mężczyzną przez oddalenie od matki, ale właśnie przez czerpanie z tego, co kobiece. To ogromny dar, jaki otrzymałem od życia.

Przywodzi mi to na myśl jungowską teorię Animy – pierwiastka kobiecego i Animusa – pierwiastka męskiego, które tkwią w każdym człowieku. Trzeba je w sobie zaakceptować.



fot. Bogna Kociumbas

Dla mnie tak samo ważne jest rozwijanie racjonalności, co fantazji. Jestem doktorem filozofii, która ukształtowała mnie intelektualnie, ale jednocześnie jestem też pisarzem i dramaturgiem, co stawia mnie całkowicie po stronie wyobraźni, wrażliwości i uczuć. Studia filozoficzne były dla mnie niebezpiecznym momentem, bo zauważyłem, że stałem się wyłącznie intelektualistą, Animusem. Musiałem odbyć poważną walkę, aby odkryć w sobie uczuciowość i subtelność, jakie reprezentuje Anima.

Mówiliśmy o tym, że w swojej twórczości podejmuje pan tematy współcześnie bardzo istotne. Czy może pan o sobie powiedzieć, że jest pisarzem zaangażowanym?

Zarzucam życiu politycznemu w Europie, że jest zbyt uproszczone i wciąż kreuje wrogów, żeby się zdefiniować. Ja, poprzez moją literaturę, chcę robić coś zupełnie przeciwnego. W książkach przedstawiam wartości pozytywne, na podstawie których możemy skonstruować swoją tożsamość. Polegają one na akceptowaniu niewiedzy, na tolerancji wobec drugiego człowieka, na szukaniu odpowiedzi, które nie będą niepodważalną prawdą, a jedynie hipotezami dotyczącymi naszego życia czy pracy. To zaangażowanie głębokie, pozbawione tradycyjnej formy aktywizmu czy wdawania się w polemiki.

Kto stworzył Érika-Emmanuela Schmitta – pisarza?

To intymne pytanie. Najważniejszą osobą była moja mama, która zaraziła mnie miłością do teatru, literatury, sztuki, życia. Później byli to profesorowie literatury w liceum. Także książkowa *madame Pylinska*, inspirowana realną postacią o innym nazwisku. Mam poczucie, że wiele kobiet pomogło mi się narodzić. Na pewno sam się nie stworzyłem, tylko odkryłem siebie w spojrzeniu innych, którzy we mnie uwierzyli.

Niepokój, fatalizm, feminizm – rozmowa z Sarah Hall

⇒ [Paulina Frankiewicz](#)

Dlaczego nasz świat się sypie? Czy człowiek jest z gruntu zły? Co to znaczy, że feminizm jest humanizmem? I jaką rolę w poszukiwaniu odpowiedzi na te pytania pełni literatura? O tym między innymi opowiada Sarah Hall, brytyjska autorka nominowana do Nagrody Bookera.

Paulina Frankiewicz: Jesteśmy świeżo po premierze twojej książki *Madame Zero i inne opowiadania*, która mieści w sobie dwa niezależnie wydane w Wielkiej Brytanii zbiory krótkich form. Ciekawi mnie, czy opowiadania z założenia były częścią całości, czy pomysł na zbiorcze wydanie pojawił się później?

Sarah Hall: Każde opowiadanie pisałam w taki sposób, aby mogło funkcjonować jako kompletna całość. Dopiero po latach odkryłam, że niektóre z opowiedzianych przeze mnie historii się łączą. W ten sposób powstały dwa zbiory. Nawet teraz, gdy opowiadania zostały wydane pod wspólnymi tytułami, rezonują zarówno jako całość, jak i indywidualne narracje. Spotkałam się z określeniem moich opowiadań jako proteuszowych, zmiennych, zaskakująco różnorodnych. Jeśli rzeczywiście takie są, to dlatego, że bardzo różne rzeczy mnie interesują. Prawdopodobnie istnieje DNA wspólne dla wszystkich moich opowiadań, jednak pierwotnie każde z nich miało funkcjonować w oderwaniu.

Pani opowiadania utrzymane są w podobnym duchu co utwory Franza Kafki. Przemiany, stany zawieszenia, nieuchronność świata w rozsypce, który wymyka się obsesyjnym próbom objęcia go rozumem. Z każdym kolejnym tekstem stan chronicznego niepokoju się pogłębia.

Cieszy mnie takie odczytanie tego zbioru. Dla opowiadań wspólne jest pytanie o wyzwania i zmiany tożsamości. Wciąż wywołuję też temat śmiertelności. Interesuje mnie wizja końca, który pojawia się znienacka, kwestionując nasze próby samookreślenia. Człowiek pragnie poczucia bezpieczeństwa, ale wciąż pojawiają się czynniki, które go z niego wytrącają, a w końcu przychodzi śmierć destabilizująca go raz na zawsze. Do zadawania pytań o to, kim jesteśmy, szczególnie dobrze nadaje się opowiadanie. Formalnie to prosty schemat rozpisany na kilka postaci, ale jeśli mamy do czynienia z dobrym opowiadaniem, wokół jego jądra odkładają się kolejne warstwy znaczeń, które są dużo bogatsze, niż by się wydawało na pierwszy rzut oka.

Zatem najlepiej czuje się pani, tworząc krótką formę?

Zdecydowanie. Wydaje mi się, że opowiadanie wydobywa moje mocne strony, szczególnie dobrze nadaje się do zadawania pytań egzystencjalnych, pytań o tożsamość, o niepokój oraz pytań politycznych, które, gdy pojawiają się w powieści, przyjmują tony bliskie manifestu. Nie

zawsze tego chcemy. Ja zdecydowanie wolę operować aluzją. Pozostawiam czytelnikowi wiele luk i niedopowiedzeń. Nawet w powieściach nie zwykłam czynić podsumowań. W dłuższej prozie nie wszystkim może się to podobać, natomiast w opowiadanie wpisane jest pozostawienie na końcu znaku zapytania, który będzie rozsadzał głowę czytelnika. Jeżeli natomiast chodzi o moje słabe strony, mam świadomość, że są nimi fabuła, popychanie akcji do przodu. W tym zakresie opowiadanie wymusza na mnie pracę nad warsztatem, co również działa na korzyść mojej twórczości. Tym, co najbardziej podoba mi się w opowiadaniu, jest konieczność skalibrowania jego poszczególnych elementów. Liczy się każde zdanie, jako autorka nie mogę sobie pozwolić na utratę kontroli. Sama również czuję się dyscyplinowana przez tę formę. Bardzo mi to odpowiada.

W minionym roku w Polsce ukazał się zbiór krótkich form Olgi Tokarczuk zatytułowany *Opowiadania bizarne*. Ten termin dobrze pasuje mi również do pani twórczości, która jest nieprzewidywalna i dziwaczna na poziomie fabuły. Skąd czerpie pani inspiracje?

Często wracam pamięcią do czasów, kiedy chodziłam do wiejskiej szkoły. Miałam wtedy świetnego nauczyciela, który siadał na biurku i opowiadał nam historie o duchach. Wiele z tych opowieści pamiętam do dziś, ale przede wszystkim nabyłam wówczas przekonania, że rolą opowiadania jest wzbudzanie niepokoju i wytrącanie z poczucia bezpieczeństwa. To oczywiście bardzo dawny, tradycyjny sposób rozumienia funkcji opowieści w ogóle. Temu służyły baśnie, które potem zabilismy, dostosowując je do potrzeb dzieci. Sama lubię czytać opowiadania czy powieści, w których pisarzowi udało się stworzyć wiarygodny, kompletny świat, a jednocześnie uzyskać jakiś rodzaj subwersywnego elementu, który ten świat podcina. Wykreowanie takiego uniwersum i jednocześnie zasygnalizowanie pewnego ruchu tektonicznego, który mu zagraża, to bardzo trudna i rzadka umiejętność. Kiedy trafię na takie dzieło, pozostaję pod jego silnym wpływem.

Oprócz literatury studiowała pani również historię sztuki. Tak, studia zdecydowanie poszerzyły wachlarz moich zainteresowań, a także stosowanych środków wyrazu. Inspirują mnie zarówno sztuki wizualne, jak i literatura, ponieważ pisanie w sposobie kreacji przypomina trochę malarstwo. Pisarze, których lubię, zwykle są też poetami. Nawet w ich prozatorskich utworach czuć dobre ucho do angielszczyzny. Ich zdania są misternymi konstrukcjami, którymi wprawnie malują wyrazisty obraz. To proza dość trudna w odbiorze i dotycząca poważnych spraw.

Bohaterowie pani opowiadań są bardzo cieleśni, niemal zwierzęcy. Poznajemy przede wszystkim ich drapieżną stronę. Wpisałyby pani człowieka bardziej w świat natury niż kultury? Występuje tu dychotomia, czy te światy raczej się przenikają?

Wydaje mi się, że nie istnieje wyraźna granica między światem przyrody a cywilizacją. Lubimy mówić o sobie „istoty ludzkie”, ale tak naprawdę jesteśmy zwierzętami ludzkimi. Wywyższamy się ponad zwierzęta, a przecież rządzi nami ta sama biologia. Tym, co wysuwa się na pierwszy plan, jest nasza fizyczna obecność w świecie, która wiąże się z ważnym dla mnie zagadnieniem

tożsamości osobowej. Szczególnie interesuje mnie sytuacja, w której ciało zawodzi, co pociąga za sobą zmiany tożsamościowe. Guz mózgu albo inna choroba modyfikuje nasze jestestwo. Podobnie sytuacje graniczne, takie jak poród, pociągają za sobą zmiany tożsamościowe. Na moje rozumienie natury i kultury wpłynęło również miejsce, w którym się urodziłam i wychowałam, Lake District w północnej Anglii. Na tych rolniczych terenach demografia ukształtowała się w zwierzęco-ludzkich proporcjach. Nigdy nie oddzielałam tych światów. W tym znaczeniu doświadczenie dorastania w Kumbrii miało formacyjny charakter dla mojej twórczości. Łączę świat ludzki ze zwierzęcym, starając się pokazać, że wcale nie ma między nimi tak dużej różnicy. Takie myślenie dziś wydaje się pewnie staroświeckie czy egzotyczne, ale nie przejmuję się tym.

Jako filozofka muszę zatem spytać: człowiek jest raczej dobry czy zły?

Słuszne pytanie. Moje książki ukazują się na rynku od piętnastu lat i jeszcze nikt mnie o to nie spytał. Sądzę, że z próby udzielenia odpowiedzi wywodzi się cała literatura. Myślenie o tym jest dość przygnębiające. Z jednej strony ludzie mają wielki potencjał, z drugiej – noszą w sobie destrukcyjne pierwiastki. Nie powiedziałabym, że dzielimy się na dobrych i złych, sądzę, że zawieramy w sobie obydwa te światy. Możemy rozwijać się ku dobru, równocześnie przeszkadzając sobie w tym rozwoju, dlatego jako społeczeństwo potrzebujemy prawa, które w pewien sposób reguluje i ogranicza naszą wolność. Myślę, że gdybyśmy uzyskali ostateczną odpowiedź na to pytanie, to byłby to koniec literatury. O tym dylemacie piszę niemal wprost w jednym z opowiadań ze zbioru *Sudden Traveller*, który w listopadzie ukaże się w Wielkiej Brytanii.

Opowie pani tę historię?

Akcja opowiadania toczy się na bułgarsko-tureckiej granicy. Grupa mężczyzn zamieszkujących pogranicze urządza w lesie imprezę. Czekają na kobiety, które mają do nich dołączyć, jednak te nie zjawiają się na polanie. Na tę okazję chłodzą w studni piwo. W pewnym momencie pęka lina. Ktoś musi zjechać na dno studni, żeby to piwo uratować. Mężczyźnie, który schodzi na dół, nie udaje się wyjść cało z misji. Moje opowiadanie balansuje na krawędzi baśni: dużą rolę odgrywają w nim kobiety, które patrząc w studnię, potrafią odczytywać przyszłość. Z tafl wody wyczytują, że mężczyzna, który decyduje się zejść po trunek, stanie się dyktatorem, kimś w rodzaju Erdogana. Wiedziały, jaki los czeka go w studni, mogły udać się na ratunek, ale poznawszy przyszłość, decydują się zostać przy stole i w ten sposób powstrzymać tragedię. Pojawia się odwieczne pytanie o dobro i zło, czy Turcja uniknie dyktatury? Czy gdyby można było powstrzymać Hitlera, udałoby się zmienić bieg historii dwudziestego wieku? I bardziej ogólnie: jak powstrzymać zło, zanim się wydarzy i czy to w ogóle możliwe?

Czy w takim razie literatura ma moc zmiany świata i człowieka? Wierzy pani w katartyczną moc słowa pisanego?

Myślę, że tak, chociaż pewnie nie na wielką skalę. Nie mówię tutaj o literaturze politycznej, która stara się mówić nam, jak żyć. Proza może zmieniać świat w tym sensie, że tworzy scenariusze, które mówią, „co by było gdyby...”. Weźmy za przykład kryzys klimatyczny. Przeciętny

Jak powstrzymać zło, zanim się wydarzy i czy to w ogóle możliwe?

człowiek nie jest w stanie, a przynajmniej nie zadaje sobie trudu, żeby wyobrazić sobie, jak wyglądać będzie życie w bliżej nieokreślonej przyszłości. Literatura dystopijna tworzy takie światy i potrafi robić to bardzo wiarygodnie i przekonująco. W tym sensie fikcja literacka pomaga uświadomić czytelnikom różne sprawy. Szczególnie sprawdza się tutaj opowiadanie, którego główną rolą jest zadawanie pytań. Dla mnie to nadrzędna rola literatury: stawianie znaków zapytania, spekulacja na temat tego, czym jest ludzkość, jak i dlaczego żyjemy w określony sposób i jakie inne formy życia są i będą możliwe. W tym sensie literatura może wywierać na nas wpływ, wyzwalać z kolein myślenia, w których tkwimy, rewidować nasze poglądy. Jest zdolna przewrócić wszystko na nice, a właśnie tego dzisiaj potrzebujemy. Poza tym literatura jest empatyczna. Pozwala nam postawić się w sytuacji innego, przeciwdziała solipsyzmowi. To dlatego książki bywają na indeksie. Nie przez ich nieprzyzwoitość czy polityczną wywrotowość, tylko dlatego, że umożliwiają dialog i zrozumienie człowieka, uwrażliwiają nas na jego los i skłaniają do myślenia o tym, o czym byśmy nie pomyśleli.

Wątek czytania i walki o ocalenie literatury jest obecny w pani opowiadaniach. Jeden z bohaterów wygłasza pogląd, że literatura czyni nas samotnymi, bo zamyka nas na innych. Czytanie przedstawione jest jako akt skrajnie indywidualny, samotniczy. To także pani zdanie?

W pewnym sensie podzielam tę opinię. Jako dziecko czułam, że czytając jestem samotna, i trochę mi to zostało. Czytanie rzeczywiście jest nieco alienujące i muszę przyznać, że nie należy do moich ulubionych zajęć. Mam przy tym pełną świadomość, że potrzebujemy tego medium, żeby mieć dostęp do stwarzanych przez pisarki i pisarzy światów. Jeśli książka jest dobra, wierzę w uniwersum, o którym czytam, i w tym sensie literatura bywa również swego rodzaju więzieniem. Ma to związek z intensywnością przeżycia i przeniesieniem do alternatywnego świata, które nie może nastąpić na innej drodze. Tylko dzięki samodzielnej lekturze nasz mózg może wytworzyć połączenia z innymi światami. Jest to rodzaj umysłowego ćwiczenia, którego bardzo potrzebujemy. Czytanie to dziwna rzecz.

Świetnie diagnozuje pani rzeczywistość, w której żyjemy. Nie tylko relacje międzyludzkie, bardzo intensywne, często graniczne, ale także przemiany świata. W pani prozie można znaleźć sporo postapokaliptycznych sugestii. Realizm, pesymizm, a może fatalizm – jak patrzy pani na świat?

Żyjąc w epoce fake newsów i postprawdy, nie wiemy, czym tak naprawdę jest rzeczywistość. Polityka i język



fot. Bogna Kociumbas

ulegają destabilizacji. To bardzo niepokojący stan, w którym trudno być realistką. Kiedyś myślałam o sobie w ten sposób. Moim celem było dotarcie do momentu prawdy, ponieważ wierzę w mutacyjność. Nic nie trwa wiecznie, rzeczy się zmieniają, ale chwila prawdy jest możliwa do uchwycenia. Jedną z moich książek opatrzyłam słowami Gastona Bechelarda: „Rzeczy nie są tym, czym są. Są tym, czym się stają”. Tym mottem mogłabym określić swoją wizję świata. Myślę, że warto rejestrować znaczące dla danego czasu chwile mimo nieuchronności ich przyszłej zmiany. Być może skłaniam się coraz bardziej ku fatalizmowi. Być może także w nim jest miejsce na nadzieję. Być może... Człowiek jest paradoksalnym stworzeniem. Podlegamy wielu impulsom, które kłócą się ze sobą. Rozumiemy jakiś problem, ale nie potrafimy go rozwiązać, bo wpływa na nas wiele uwarunkowań. Mój fatalizm, myślę sobie, sprowadzałby się do świadomości, że nie potrafimy proponować długotrwałych rozwiązań, nie potrafimy być kimś określonym przez dłuższy czas. Pewnie dlatego staram się uprawiać literackie dziennikarstwo i łapać te efemeryczne momenty prawdy.

Ma pani modelowego czytelnika? Dla kogo pani pisze?

Nie, nigdy nie piszę z myślą o kimś konkretnym. Po spotkaniach podchodzą do mnie najróżniejsi ludzie, którym podobała się moja twórczość, a więc mój modelowy czytelnik nie jest ani kobietą, ani mężczyzną, nie jest ani stary, ani młody. Być może wynika to stąd, że sama nie czuję się ściśle zdefiniowana jako czytelnik ani jako człowiek. Staram się wierzyć, że moja twórczość rezonuje i przemawia do ludzi bez względu na ich płeć, wiek, pochodzenie czy nawet poglądy.

Nie definiuje się pani zatem jako autorka feministyczna?

Określiłabym się jako pisarkę feministyczną, jestem też feministką w życiu, ale feminizm jest dla mnie w pewnym sensie równoznaczny z humanizmem. To zestaw narzędzi, który służy do przyglądania się historii kobiet. Jestem pisarką feministyczną, ale także dystopijną czy

zaangażowaną. I pewnie to nie koniec wyliczeń, pod którymi bym się podpisała. Myślę, że każdy ruch czy pogląd, który przygląda się określonym grupom marginalizowanym, jest częścią humanizmu jako szeroko rozumianego poszukiwania odpowiedzi na pytanie o to, jak lepiej żyć razem. Być może częścią feministycznej agendy jest tworzenie przeze mnie pełnowymiarowych, złożonych i ekscytujących postaci kobiecych. Tworzę je, bo widzę, że ciągle ich w literaturze brakuje, ale niezależnie od płci bohaterów zawsze chodzi mi o ukazanie spektrum ich możliwości, talentów, potencjału, jak również wad i porażek. Nie wydaje mi się, żeby były jakieś ściśle określone granice między kobietami i mężczyznami, które powołuję do istnienia w swoich tekstach. Być może jest to część mojego wychowania, gdyż sama nie widzę siebie jako jednostki zdefiniowanej przez takie ściśle granice. Interesują mnie szczególnie te momenty, gdzie mamy do czynienia z porowatością, gdzie możemy przenikać granice, a więc także płęć kulturową.

Podoba mi się to ujęcie feminizmu jako humanizmu, tak obce polskiemu społeczeństwu. Myślę, że takie inkluzywne podejście jest bardzo ważne i potrzebne.

Feminizm jak każdy inny ruch funkcjonuje różnie w zależności od momentu w historii, szerokości geograficznej, nastrojów danego społeczeństwa. Wydaje mi się, że każdy ruch potrzebuje swojej awangardy. Nelson Mandela nazywał to grotem włóczni, który musi iść jako pierwszy, żeby cokolwiek zmienić. Niekoniecznie przemocowy, ale wyrazisty, nieznoszący sprzeciwu punkt wyjścia jest potrzebny, aby dojść do głosu i zainicjować zmiany. Mimo to feminizm musi operować na różnych poziomach penetracji społeczeństwa, różnych poziomach ożywczego podważania zastanego porządku. Jeżeli chcemy coś zmienić, feminizmowi musi towarzyszyć nowy maskulinizm, bez niego feminizm nie będzie skuteczny. Musimy zawsze brać pod uwagę całą populację. Tak samo jest z literaturą, jestem daleka od wykluczania kogokolwiek z grona jej odbiorców. Wystarczająco dużo nas dzieli.

Jesteśmy braćmi w przeciwnych pasjach – spotkanie z Jarosławem Mikołajewskim

⇒ [Magdalena Bojanowska](#)

Mimo ciemnych chmur, które zwiastowały, że lada chwila spadnie deszcz, miłośnicy literatury faktu i poezji przybyli tłumnie do Klubu Atelier na spotkanie z Jarosławem Mikołajewskim. Poprowadził je Michał Nogaś.

Atmosfera spotkania była bardzo swobodna i życzliwa, ponieważ prowadzący świetnie zna się z gościem Literackiego Sopotu. – Znam go od wielu lat. To on nauczył mnie picia kawy w Rzymie – powiedział Michał Nogaś, przedstawiając swojego rozmówcę. – Jest nie tylko wspa-
niałym poetą, eseistą, myślicielem, tłumaczem, ale także reporterem poetyckim.

Na tropie Ginczanki

Głównym tematem spotkania była nowa książka Jarosława Mikołajewskiego *Cień w cień. Za cieniem Zuzanny Ginczanki*, której październikową premierę kilka dni temu zapowiedziało wydawnictwo Dowody na Istnienie. Reporter odczytał jej fragment, opowiadający o tym, kiedy narodziła się jego fascynacja wybitną poetką. A było to już podczas czytania jej pierwszych wierszy na początku liceum.

– Podczas pracy nad tą książką odkryłem, że istnieje pamięć o pewnych osobach, ale też istnieje pamięć o własnych opowieściach o tych osobach – zauważył poeta. Mikołajewski opowiedział, jak wyglądała jego praca nad książką i jak szukał informacji na temat Ginczanki. – Moim celem nie jest szukanie czy zdefiniowanie jej obrazu. On jest chyba nie do zdefiniowania. Zresztą jak chyba każdego, o kim piszemy – powiedział. – Uważam, że ona powinna pozostać takim niezdefiniowanym zjawiskiem. Zrozumiałe są próby jej dookreślenia.

”

Mimo wiedzy, że pokazanie uchodźców jest o wiele prostsze, postanowił opisać ludzi, którzy ich przyjmowali na wyspie.

Ja sobie pozwalam odejść od tego całkowicie w tym moim reportażu, ale ważne, żeby żyły w nas takie postaci. Takie, które właśnie są nie do końca określone, które uciekają przed każdą formą zdefiniowania, żeby w nas coś tam otwierały. To nie musi być ona, ale o niej trzeba pamiętać, bo ta poezja i ten los na pewno na to zasługują. Książka, jak przyznał pisarz, jest wynikiem jego długotrwałego niepokoju związanego z postacią Zuzanny Ginczanki. Po prostu czuł, że musi o niej napisać.

Dramat na Lampedusie

Michał Nogaś zauważył, że w książce *Cień w cień* znajduje się fragment dotyczący Lampedusy, włoskiej wyspy, na której rozgrywał się dramat przyptywających do Europy uchodźców, opisany we wcześniejszym reportażu Jarosława Mikołajewskiego zatytułowanym *Wielki przyptyw*. Głównym bohaterem tej opowieści był dr Pietro Bartolo. Prowadzący przeczytał fragment książki *Gdańsk jako wspólnota* zamordowanego w styczniu tego roku prezydenta Gdańska, Pawła Adamowicza, dotyczący właśnie kryzysu uchodźczego na Lampedusie. Mikołajewski powiedział, że ze wzruszeniem odkrył, że w tej książce była wzmianka o nim, ponieważ zawsze bardzo szanował Adamowicza. Przyznał również, że jego zainteresowanie wyspą i tym, co się tam działo, wynikało z tego, że polskie media na ten temat milczały. Mimo wiedzy, że pokazanie uchodźców jest o wiele prostsze, postanowił opisać ludzi, którzy ich przyjmowali na wyspie. – To maleńka wysepka, gdzie mieszka 6 tys. osób. I tam się pomaga. To znaczy ludziom nawet nie przychodzi do głowy, żeby nie pomóc. Widziałem grupę kobiet, które wychodziły z kościoła i płakały, bo zaniósł uchodźcom suche ubrania, a teraz słyszą, że płyną kolejni i one nie wiedzą, gdzie znaleźć jeszcze dla nich suche ubrania – opowiadał Mikołajewski.

Poetycki koniec

Po tej części poeta odczytał cztery wiersze z tomu *Głupie łzy*, który ukaże się w październiku nakładem Wydawnictwa Literackiego. Zadeklamował również dwa wiersze dla dzieci z książki *Zoo*. Ten ostatni, o ptaku, który został prezydentem dziobaków, wywołał wśród publiczności salwę śmiechu i gromkie brawa.

Na sam koniec spotkania publiczność miała okazję zapytać pisarza o nurtujące ich kwestie. Jednak żadne pytanie nie padło, ponieważ czytelnicy postanowili podzielić się wrażeniami ze spotkania i podziękować za to, co pisarz podczas niego powiedział. Mikołajewski bowiem zauważył, że należy zwracać uwagę na to, ile nas łączy. – Pier Paolo Pasolini, jeden z moich ukochanych poetów, powiedział: jesteśmy braćmi w przeciwnych pasjach – wyznał pisarz.



fot. Bogna Kociumbas

Głęboko wierzę w mądrość człowieka – spotkanie z Reni Eddo-Lodge

⇒ [Klaudia Czaboryk](#)

Rasizm istnieje, czy tego chcemy, czy nie. Może da się jednak zrobić coś, aby walczyć z nierównościami? Chyba że lepiej po prostu ignorować problem, skoro już tak przyzwyczailiśmy się do obecnej sytuacji?

W czwartkowe popołudnie w Państwowej Galerii Sztuki odbyło się spotkanie z brytyjską pisarką Reni Eddo-Lodge, autorką głośnej książki *Dlaczego nie rozmawiam już z białymi o kolorze skóry*. To była pierwsza wizyta pisarki w Polsce, a na spotkaniu pojawiło się mnóstwo ludzi. Rozmowa zaczęła się od, jak stwierdziła sama Eddo-Lodge, nie za bardzo oryginalnego pytania o tytuł jej książki, który nawiązuje do postu zamieszczonego przez nią na blogu kilka lat temu. Zapytana później o to, czy teraz, po latach rozmów na temat rasizmu i jej książki, zmieniłaby tytuł, odpowiedziała, że nie, bo *Dlaczego nie rozmawiam już z białymi o kolorze skóry* odzwierciedla emocje, które odczuwała w tamtym okresie. Gdyby zmieniła tytuł, nie byłaby uczciwa wobec swoich czytelników, a na tym zależy jej najbardziej.



fot. Bogna Kociumbas

Nie nasze problemy?

Eddo-Lodge wyjaśniła, dlaczego skupia się na i pisze o rasizmie strukturalnym, a nie instytucjonalnym. Powód jest bardzo prosty – rasizm strukturalny jest nam bliższy, bo mówi o relacjach w przyjaźni, w pracy, w rodzinie i o problemach, jakie pojawiają się w tych relacjach z powodu rasy. Rasizm instytucjonalny kojarzy nam się z wielkimi firmami i Kościołem, a nie każdy ma z nimi do czynienia. Pisarce zależy na zwróceniu uwagi na problemy występujące w naszym najbliższym otoczeniu i na uświadomieniu sobie, że one istnieją i nie mogą być pomijane. Musimy zdać sobie sprawę, że istnieją z góry narzucone limity, z których nawet nie zdajemy sobie sprawy.

Jako przykład Eddo-Lodge przywołała historię ze swojego życia, gdy mając trzy lata spytała mamę, kiedy stanie się biała. Zadała to pytanie, bo oglądając bajki widziała, że bohaterowie są biali i chciała być taka jak oni. Czytając książki i oglądając kreskówki, nie widziała żadnych historii opowiadanych z punktu widzenia dzieci takich jak ona, nie rozumiała tego. Zapewne nikt nigdy nawet przez chwilę nie zastanowił się nad tym, bo problem rasizmu go po prostu nie dotyczy. Tak samo jak nie zdajemy sobie sprawy z problemów ludzi niepełnosprawnych, nie dostrzegamy ich, bo nas nie dotyczą. Bo czy myślimy o tym, jak uprzywilejowani jesteśmy, mogąc chodzić po schodach?

Brak zrozumienia

Pisarka zapytana o to, czy istnieją jakieś sytuacje, w których kończy rozmowę o rasizmie z białymi, odpowiedziała, że dzieje się to tylko wtedy, gdy ktoś uparcie twierdzi, że problemu nie ma. Jej zdaniem mówienie, że nierówności

”

Rasizm jest problemem społecznym. A to, że przyzwyczailiśmy się do nierówności, nie oznacza, że są one dobre.

wynikające z posiadania innego koloru skóry niż biały nie istnieją, to jak mówienie, że nie ma zmian klimatu, a globalne ocieplenie to fikcja. Brak zrozumienia ze strony innych był głównym powodem, dla którego Eddo-Lodge napisała najpierw post, a później książkę. Miała już dość ciągłego braku zrozumienia tego, co mówi, wrogości ze strony ludzi, którzy uważali, że mówiąc o rasizmie ich atakuje. Jak sama przyznała, uznała wtedy, że nie może dłużej ciągnąć tych rozmów, bo są szkodliwe dla jej zdrowia psychicznego. Była odbierana w zupełnie odmienny sposób od zamierzonego.

Podczas spotkania Eddo-Lodge mówiła również o rasowym daltonizmie, który odnosi się do sytuacji, w których kwestia rasy jest pomijana w dyskursie publicznym. Pisarka przypomniała również, że nie istnieje żadne naukowe uzasadnienie różnic rasowych, bo z biologicznego punktu widzenia nie ma genetycznych różnic pomiędzy ludźmi z różnymi kolorami skóry. Rasizm jest problemem społecznym. A to, że przyzwyczailiśmy się do nierówności, nie oznacza, że są one dobre.

Liderka

Po ogromnym sukcesie, jaki odniosła jej książka, Eddo-Lodge jest uważana za ekspertkę w dziedzinie rasizmu. Często jest pytana o to, co robić, aby z nim walczyć, jak zmieniać świat na lepsze. Pisarka podczas spotkania kilkakrotnie stwierdziła, że nigdy nie udzielała, nie udziela i nie będzie udzielać rad ani mówić, co robić, bo nie jest politykiem. Nigdy nie chciała angażować się politycznie, po prostu przedstawiła swój punkt widzenia. Jest pisarką, więc analizuje otaczający ją świat. Ludzie proszą o porady i odpowiedzi, bo lubią mieć lidera, kogoś, za kim można podążać i kto powie, co robić. Eddo-Lodge jednak głęboko wierzy w mądrość człowieka i twierdzi, że ludzie muszą myśleć za siebie. Ona nigdy nie będzie liderką żadnego ruchu walczącego z rasizmem, bo nie uważa, żeby przemyślenia, które opisała w swojej książce miały większą wagę niż przemyślenia któregośkolwiek z jej czytelników. Dlatego chce być częścią ruchu, a nie jego liderką.

Jestem pomostem między Chinami a resztą świata – spotkanie z Lijią Zhang

⇒ [Aleksandra Chmielewska](#)

Czy socjalizm faktycznie może być piękny, czy może taki tytuł książki miał na celu wyłącznie przyciągnięcie uwagi? Na to i wiele innych pytań odpowiedziała mieszkająca w Londynie pisarka chińskiego pochodzenia, Lijia Zhang, podczas spotkania w księgarni Smak Słowa. Spotkanie poprowadziła Małgorzata Żerwe.

Autorka książki *Socjalizm jest piękny* rozpoczęła od na poły intrygującego, na poły humorystycznego wprowadzenia. Wyjaśniła, że tradycyjnie, po chińsku, jej nazwisko powinno być wymieniane jako pierwsze, a zatem Zhang Lijia. – Lijia oznacza piękna, a Zhang – wyrafinowana, takie było marzenie moich rodziców. Zhang dodała żartobliwie, że spotkanie prowadzone jest przez Małgosię, a to imię brzmi jak wyrażenie w języku chińskim „pies i kot kładące się”.

Pomost kulturowy

– Postrzegam się jako Chinę, jestem autentyczną Chiną, tam dorastałam – wyznała Zhang zapytana o swoje poczucie tożsamości. – Mieszkając w Londynie, czuję się jakbym była pomostem kulturowym między Chinami a resztą świata. Rozumiem, jak wyglądają międzynarodowe standardy i dzięki temu mogę pomóc ludziom zrozumieć, jaka jest sytuacja w Chinach. Mogę mieć do tej sytuacji dystans. Zintegrowałam się z angielskim środowiskiem dość dobrze, piszę o ojczyźnie dla najbardziej poczytnych pism brytyjskich, pracuję też w rozgłośniach radiowych.

Zhang opisała także, jak potoczyły się jej losy w Państwie Środka, gdzie wychowała się w bardzo biednej rodzinie z klasy robotniczej. W 16. roku życia musiała, mimo dobrych wyników w nauce, zakończyć edukację, by potem przez 10 lat pracować w fabryce rakiet. Pisarka odczytała w tym miejscu fragment swojego pamiętnika, opisujący scenę, w której jej matka, pracująca wówczas w zakładach maszynowych, zachęca 16-letnią dziewczynkę do pracy w fabryce.

Prawda czy prowokacja?

Zapytana o tytuł swojej książki autorka odpowiedziała, że nie jest wbrew pozorom deklaracją polityczną, że to po prostu tytuł popularnej piosenki rewolucyjnej. Podkreśliła jednak, że Komunistyczna Partia Chin faktycznie ma wiele zasług, między innymi zrobiła sporo dla kobiet. Prawo ustanowione w 1990 roku między innymi umożliwiło równy dostęp do edukacji i zagwarantowało równość związaną z warunkami zatrudnienia, położyło też kres

wieloności. – Szczególnie wdzięczna Partii była moja babcia. Ponieważ zdelegalizowano wieloności, dziadek musiał wybrać sobie jedną żonę i wybrał właśnie ją. Zhang przyznała, że obecnie w Chinach reforma wprowadzona w 1998 roku położyła kres izolacji państwa, a zarazem doprowadziła do otwarcia się na gospodarkę rynkową. – Niestety wraz z jej wprowadzeniem pogłębiły się nierówności między płciami – zwróciła uwagę. – Przestawiliśmy się na gospodarkę wolnorynkową, a kobiety za dużo wzięły na swoje barki.

Przypowieść o żabie

Prowadząca wyznała, że rozpoczynając książkę *Socjalizm jest piękny* anegdota o żabie w studni wydała jej się kluczowa, jeśli chodzi o zrozumienie całej książki i poprosiła autorkę o jej wyjaśnienie. Zdaniem Zhang opowiadka znanego filozofa o żabie uwięzionej na dnie studni, która mogła widzieć zaledwie skrawek nieba, w metaforyczny sposób opisywała jej stan emocjonalny podczas dziesięciu lat pracy w fabryce. – Jako drogę ucieczki wymyśliłam sobie nauczanie samej siebie. W wieku 22 lat zaczęłam się uczyć angielskiego. W odróżnieniu od dzisiejszych czasów, kiedy jest szeroki dostęp do internetu, do filmów hollywoodzkich, ja tego wszystkiego nie miałam, miałam tylko stacje radiowe. Nauka angielskiego stała się moją obsesją. Było to bardzo trudne, bo to system językowy bardzo odmienny od chińskiego. Koledzy śmiali się ze mnie, że jestem jak żaba, która chciałaby jeść mięso łabędzia, co oznacza, że porywam się z motyką na słońce.

Autorka wiele uwagi poświęciła opowieściom na temat swojego procesu nauki, a także opisom tego, jak nowy język dał jej poczucie wolności i dystansu niezbędnego do opisywania własnej kultury. – Jest takie powiedzenie, że kiedy poznajesz nowy język, dostajesz nową duszę – podsumowała autorka. Historia życia Lijii Zhang pokazuje, że ta nowa dusza to bardzo cenny dar, ale jej działalność literacka i dziennikarska są dowodem na to, że może to być również prawdziwy skarb dla tych, którzy wciąż są spragnieni rzetelnej wiedzy na temat obcych kultur.



fot. Bogna Kociumbas



Ilona Wiśniewska. Reporterka z Północy

⇒ [Dominika Prais](#)

Ilona Wiśniewska przyjeżdża do Sopotu z zimnej Norwegii. Na miejscu zachwycą się widokiem księżycy w pełni, którego w czasie dnia polarnego nie ma na niebie. W Sopocie wtapia się też w tłum ludzi, których na Północy widuje się bardzo rzadko. Podczas rozmowy z Michałem Nogasiem opowiada o doświadczeniach i spotkaniach, jakie przyniosło jej życie w tym rejonie świata.

Przystanek nr 1: Spitsbergen

Pierwsze wrażenie: na Spitsbergenie nic nie pachnie. Po przylocie reporterka poczuje jedynie dym papierosa, którego zapali jeszcze na lotnisku. Później – zapach tundry, piękny i niemożliwy do opisania słowami. Na największej norweskiej wyspie ląduje dokładnie 10 lat temu, w sierpniu 2009 roku. Nie ma jeszcze na siebie pomysłu, ale wie jedno – chce zmienić swoje życie. Wiśniewska szczerze przyznaje: – W Polsce nie mogłam oddychać. Bywają w życiu takie momenty, kiedy jest się w rozpacz i można się albo w niej pogryźć, albo zacząć działać.

Tak rozpoczyna się jej przygoda na zimnej Północy, gdzie ludzi spotyka się rzadko, a bodźce są ograniczone do minimum. – Przez to, że jest ich tak mało, wszystko zwalnia i ty też zwalniasz – wyjaśnia. Na wyspie zatrudnia się w muzeum przy katalogowaniu fotografii. Poznaje też ludzi z różnych stron świata, bo Spitsbergen to, jak mówi, kulturowy tygiel. Historie niektórych z nich złożą się na jej debiutancką książkę reporterską *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen*. Wśród nich nie zabraknie też opowieści jej obecnego męża. – Był dla mnie inspirującą postacią. Opowiadał mi historie, zachęcał do tego, żeby pisać – wyznaje. Pokazał jej też Spitsbergen.



fot. Bogna Kociumbas

Przystanek nr 2: Północna Norwegia

A później mąż zabrał ją na północ Norwegii, skąd pochodzi. Wiśniewska opowiada, że ludzie są tam niezależni, ale dbają o siebie, mają baczenie na to, co dzieje się u sąsiadów. Budzą w niej zainteresowanie, bo noszą w sobie historie do opowiedzenia. Uczy się więc norweskiego, aby móc z nimi rozmawiać i poznać ich losy. Oni zapraszają ją do domów, choć czasem musi sobie na to zasłużyć, na przykład odśnieżając podwórko. Wielu z nich zostaje bohaterami jej drugiej książki *Hen. Na północy Norwegii*.

Przystanek nr 3: Grenlandia

Stoję na zamrażonym morzu i mam świadomość, że pode mną jest cały świat, ale ja tego nie słyszę. Bo na Grenlandii panuje cisza, którą wyznacza natura – to jedno z jej najintensywniejszych wspomnień z największej wyspy świata. Wiosną 2017 roku trafia do miasteczka Uummannaq z zamiarem zebrania materiału do kolejnej książki. Na miejscu pracuje jako wolontariuszka w najstarszym na Grenlandii domu dziecka, bo czuje, że musi dać mieszkańcom coś od siebie, aby nie mieli wrażenia, że są przez nią wykorzystywani.

Wiśniewska decyduje się nie opowiadać zatem o losach wychowanków domu dziecka. – Łatwo byłoby napisać o pokoleniu zniszczonym przez danizację, ale nie chciałam wchodzić w narrację, która byłaby oczekiwana – wyjaśnia. *Lud. Z grenlandzkiej wyspy* jest splotem wielu różnych, czasem bardzo trudnych, historii mieszkańców Uummannaq. W niektórych pobrzmiewają skutki kolonizacji i głosy na temat niezależności Grenlandii. Ona sama nie chce oceniać, czy wyspa powinna być niepodległa. – Niektórzy Grenlandczycy chcieliby niepodległości, ale nie teraz, bo do tego potrzeba rozwiązań systemowych – przyznaje.

Przystanek nr 4: Tajemnica

Jakie są jej dalsze plany? Zapytana o kolejną książkę nie zdradza szczegółów: – Północ jest duża i dużo jest ludzi, którzy mają historie do opowiedzenia. Przychodzą mi do głowy pewne pomysły.

Tekst może trzeszczeć

⇒ [Natalia Soszyńska](#)

Jak długie cienie rzuca sylwetka tłumacza, dlaczego czasami w tłumaczeniu warto popełnić błąd i co to jest parszuczek? W rozmowie z Antonią Lloyd-Jones, Jackiem Dehnelem i Maciejem Świerkockim dowiadujemy się, jak wielką sztuką jest dobry przekład literacki.

Natalia Soszyńska: Dzisiejszą debatę na festiwalu za tytułowano *W cieniu. Rola tłumacza we współczesnej literaturze. A czy ktoś stoi w cieniu tłumacza? Kto jest niezwykle ważny, ale się o tym nie mówi?*

Jacek Dehnel: Redaktorzy i korektorzy. Ludzie, którzy są wciąż bardzo niedoceniani, zarówno przy wydawaniu książek w oryginale, jak i przekładach. Dlatego bardzo się cieszę, że w ubiegłym roku po raz pierwszy wręczono nagrodę Wielkiego Redaktora.

Antonia Lloyd-Jones: W tym roku podczas festiwalu Stolica Języka Polskiego w Szczepieszynie otrzymała go Małgorzata Szczurek, w ubiegłym roku laureatką była Marianna Sokołowska i to są wspaniałe wieści. Jestem bardzo wdzięczna moim redaktorom, ponieważ wspólnie pracujemy ze sobą, by sfinalizować projekt, jakim jest książka i gdyby nie oni, nie zrobiłabym tego sama.

JD: Oczywiście należy pamiętać, że redaktorzy bywają wybawieniem i błogosławieństwem, ale zdarzają się też redaktorzy straszeni. W przekładzie autorstwa mojego męża już nawet nie redaktorka, a korektorka przed samym położeniem książki na maszyny drukarskie na własną rękę pozmieniała wspomniane w tekście tytuły książek i filmów na dosłowne, z nikim tego nie ustalając. Sprawa wyszła, kiedy ukazał się krytyczny artykuł, punktujący to jako „błędy tłumacza”. Wydawnictwo oczywiście przeprosiło, ale co się stało, to się nie odstanie. Na szczęście takie przypadki są marginalne.

AL-J: Czasem jest tak, że na etapie korekty redaktor czyta tekst i czuje, że coś jest nie tak i to są ważne momenty dla książki, ponieważ czasem drobne rzeczy stają się bardzo ważne w ogólnym wydźwięku tekstu. Choć ja też znam zabawne sytuacje, na przykład w *Prowadź swój pług przez kości umarłych* Olgi Tokarczuk korektorka w Australii zmieniła tekst całkowicie, wprowadzając masę nowych rzeczy – dosłownie posprzątała wszystkie naleciałości, charakterystyczne dla języka i zachowania głównej bohaterki. Poprawki zajęły mi tydzień. Poza redaktorami i korektorami szalenie istotni, a również niedoceniani, są specjaliści od promocji. Gdyby nie oni książka w ogóle by nie zaistniała, bo przecież poza organizacją spotkań autorskich i współpracą z mediami zajmują się skomplikowanym procesem, dzięki któremu o książce dowiaduje się czytelnik. Mamy z Jackiem takie doświadczenie, mieliśmy kiedyś wspólnego wydawcę, który nie zadbał odpowiednio o promocję naszej książki i prawda jest taka, że ona nie istnieje. W Wielkiej Brytanii w ogóle trudno jest zmienić wydawcę, mi się udało tak z Jackiem i nasze książki mają fantastyczną promocję i opiekę. To bardzo ważne. Oczywiście wiele zależy od majątności wydawnictwa, ale to nie zmienia faktu, że

to wielka machina, przy której pracuje masa ludzi i to oni sprawiają, że książka istnieje w świadomości czytelników.

Wyobrażam sobie, że kiedy zapoznajecie się państwo z oryginałem, trzeba się nim zająć i oswoić. Taki tekst rozbiera się na części, a potem składa. Co w rezultacie poza tekstem otrzymuje czytelnik?

Maciej Świerkocki: Są to głównie gry językowe, wyobrażenia i co bardzo ważne – poczucie humoru. Na przykład *Ulysses*, nad którym właśnie pracuję, jest moim zdaniem dziełem przede wszystkim komicznym. Nie tylko dlatego, że jest parodystyczny i opowiada o rzeczach poważnych w sposób na ogół prześmiewczy, ale również formalnie parodiuje oczekiwania wobec literatury. Ilość żartów i humoru jest bardzo duża, widać to w języku postaci, ich fizjonomii, sposobie bycia. Nawet poszczególne rozdziały są parodiami sensu stricto czy też pastiszami, a każdy z nich jest odmienny stylistycznie. I to może być jedna z odpowiedzi na pani pytanie – pracujemy bowiem również nad tym, by przełożyć na nowy język te niedomówienia i wszystko, co autor powiedział między wierszami w oryginale. Niedostownie, oczywiście jeśli autor też był niedostowny, pokazujemy ironię czy humor, aby nie straciły swojej lekkości.

AL-J: Zawsze się boję, że nie zauważę właśnie tej aluzji, jakiegoś mrugnięcia okiem do czytelnika, często myślę, że zrobię tego typu błąd.

MŚ: Błąd może być też twórczy, Jorge Luis Borges na przykład wyznawał taką teorię, że błędy są czasem piękne, a zatem potrzebne, budujące i bywają olśnieniami. Często również sam język, na który tłumaczony jest tekst, potrafi z niego wydobyć nowe wyjątkowe piękno, którym tekst nie łni w oryginale. I my też czasem popełniamy ten błąd, piszemy coś, co jest piękne, ponieważ nam się takie wydaje, a bywa tak, że nie ma to nic wspólnego z oryginałem. Wtedy te błędy są twórcze, estetyczne.

JD: Są też błędy, które nie znoszą próby czasu i okazują się na przykład po 50 latach, że coś jest rażące, ma w sobie nieznośną manierę językową, jak na przykład w tekstach młodopolskich, gdzie mamy wyjątkowo dużo manieryzmów i nieprzystających dziś zupełnie do niczego określeń, a przecież tłumacze chcieli jak najlepiej oddać ducha tekstu, który przekładali. Taka była moda, zamysł, koncept. Tylko że źle brzmiały w języku innej epoki. Na ogół język oryginału przeszkadza w pracy, uwiera, ponieważ języki mają taką właściwość, że wzajemnie do siebie nie przylegają. Acz bywa i tak, że język daje nam prezent. Antonia tłumaczyła w *Lali* taki fragment, gdzie jest mowa o dawnym rodzinnym serwisie, który trzeba ściągnąć z pawlacza. Opisałem to tak, jakby cały serwis był zatopiony w morzu. A jest tam również sosjerka, czyli

”

Błędy są czasem piękne, a zatem potrzebne, budujące i bywają olśnieniami.

po angielsku „gravy boat”, dosłownie to łódka do sosu, więc skojarzenia się spotkały w obu językach i dostaliśmy taki nieoczekiwany prezent.

[Czy kusi państwa, by przemycać do tłumaczenia mniej znane polskie wyrazy?](#)

MŚ: Mnie tak.

JD: Jeśli tłumaczymy literaturę, to ona bardzo często nacechowana jest różnymi rzadkimi czy dawnymi określeniami, mało znanymi zwrotami. Literatura nie jest pisana językiem przezroczystym, charakterystycznym choćby dla publicystyki. Kiedy tłumaczyłem Henry’ego Jamesa, zdarzało mi się wysyłać niejasne dla mnie fragmenty do native speakerów. A oni odpowiadali, że nie wiedzą, co to naprawdę znaczy, bo James nie pisał po angielsku, tylko „po jamesowsku”. Przy czym wybór jakiegoś słowa czy konstrukcji może zmieniać wymowę całego tekstu. *The Turn of the Screw* Jamesa to klasyczna gotycka powieść grozy o duchach. W 1934 roku wyszedł esej Edmunda Wilsona *The Ambiguity of Henry James*, w którym dowodził, że tekst można czytać dwojako. Duchy panny Jessel i Quinta albo są realne, albo istnieją tylko w głowie guwernantki, młodej kobiety o stłamszonej seksualności, która nie ma możliwości, by zaspokoić tę sferę życia, co stopniowo prowadzi ją do obłądzenia. Witold Pospieszalski w swoim tłumaczeniu książki *W kleszczach lęku* dokonał takich wyborów translatorskich, że druga interpretacja tekstu była niemożliwa. W moim przekładzie zatytułowanym *Dokręcanie śruby* postanowiłem przywrócić książce obie możliwości. Wprawdzie nie do końca się z Wilsonem zgadzam, bo jedno miejsce w oryginale świadczy przeciwko przez niego zaproponowanej interpretacji. Ale jego tekst jest dziś klasyczny i dlatego zachowałem tę możliwość, ponieważ tłumacz nie zawsze musi dowodzić swoich racji, ale zawsze musi starać się oddać złożoność tłumaczonego dzieła.

MŚ: W dodatku bywa, że jesteśmy między Scyllą i Charybdą, ponieważ możemy obrać jedną z dwóch strategii: albo wczuć się w intencje pisarza i popełnić błąd intencjonalności, albo myśleć tylko przez ten tekst, z którym się spotykamy. Dajemy wtedy pokój zamiarom autora, mierzymy się z samym tekstem i odkrywamy go jak gdyby niezależnie od autora. Książka to przecież język, który potrafi podpowiedzieć, ale i zwieść na manowce, szeptać dobre rady, ale i kierować ku nowym interpretacjom. Czasem są to rzeczy, o których sam autor nie miał pojęcia.

AL-J: Mam tak często z Olgą Tokarczuk, ona posługuje się językiem intuicyjnie, język jej postaci wypływa z niej naturalnie i jest właściwy jej osobie. Czasami pytam ją: „Olu, o co ci tutaj chodziło, co to znaczy?”, a ona odpowiada: „Ech, to taka moja poezja”. I wtedy to ja mam zagwozdkę, jak to oddać.

JD: Jest też tak, że każdy z nas pisząc używa swojego języka, a zatem często słów lub znaczeń, które są lokalne czy wręcz rodzinne. Dopiero tłumacze *Lali* uświadomili mi, że w polszczyźnie ogólnej nie mówi się „zakrajem”, czyli od brzegu do brzegu, całościowo. To moje słowo rodzinne. Ciotki mojej matki zawsze mówiły do niej „żuczku parszuczku” i myślałem, że ten parszuczek to słowo wymyślone do rymu. Ale kiedy pisałem *Matkę Makrynę*, gdzie sporo korzystałem ze słownika polszczyzny litewskiej, okazało się, że parszuczek to prosiak. Nie wiedziałem tego ani ja, ani moja matka, a nie jestem też pewien, czy znaczenie to znały moje ciotki.



fot. Bogna Kociumbas

MŚ: W *Ulissiesie* jest podobnie, w tym utworze występuje około 30 tysięcy różnych słów. To ogromne poszukiwania, które przynoszą satysfakcję i często zaskakują. Te najpiękniejsze czy najdziwniejsze z nich James Joyce wykopał oczywiście specjalnie, wiedząc o ich rzadkości i wyjątkowości. Jest u niego na przykład określenie z greki, które oznacza słowo pojawiające się tylko raz w danym tekście. To *hapaks legomenon*, u Joyce’a wspomina się o nim także, rzecz jasna, tylko raz. Poza tym Joyce tworzył również własne neologizmy, dla których musiałem wymyślać polskie ekwiwalenty, używał obcych słów i zwrotów i w ogóle korzystał z całego spektrum języka. *Ulisses* to nie tylko powieść, to także po trosze słownik.

JD: Ale są też rzeczy zatrważające, jak w pewnym przekładzie *Wściekłości i wrzasku* Williama Faulknera, gdzie wszyscy czarnoskórzy z południa mówią gwarą ludową, więc możemy poczuć się jak w Reymontowskich Lipcach. Zdarzają się też sytuacje, w których język trzeba stworzyć na nowo. Z moim mężem, Piotrem Tarczyńskim, tłumaczyliśmy *Hotel de Dream* Edmunda White’a, który pisząc powieść, korzystał ze slangu gejowskiego, spisane na przełomie XIX i XX wieku. Ale w ówczesnej polszczyźnie taki slang zapewne w ogóle nie istniał, trudno było mówić w tych czasach o uformowanej społeczności homoseksualnej. Musieliśmy więc wymyśleć nowe określenia. I tak *shemale*, które dziś ma zupełnie inne znaczenie, a kiedyś oznaczało męską prostytutkę, chłopca przebijającego się za dziewczynę, oddaliśmy jako „chłopczynkę”. Zależało nam też na zachowaniu specyficznego, queerowego, przewrotnego humoru, który w polszczyźnie tej epoki trzeba było po prostu zbudować od zera.

MŚ: Odświeżałem sobie ostatnio *Emancypantki* Bolesława Prusa i tam jest między innymi fraza brzmiąca mniej więcej tak: „Przepraszam, że zrobię zboczenie”, co oznaczało w tamtych czasach dygresję. Można więc powiedzieć, że tłumacząc coś dziś na przykład językiem Prusa, trzeba by bardzo uważać na dosłowność, bo mogłaby się ona okazać mocno ryzykowna.

[Co państwo robicie z informacjami, które zostają wam po researchu na potrzeby tłumaczenia książki?](#)

AL-J: Czasem coś przesyłam do biblioteki Uniwersytetu Indiana. Niedawno wydrukowałam swój przekład *Prowadź swój pług przez kości umarłych*, naniosałam zmiany i będę musiała im to przestać, ponieważ bardzo chcą znać wszystkie bieżące zmiany tego tekstu.

”

Tekst musi się trochę śpiewać.

JD: Są też grupy zrzeszające tłumaczy danej książki, na przykład na Facebooku. Jedna z nich dotyczy *Ksiąg Jakubowych*, gdzie tłumacze wyjaśniają sobie zawiłości języka i interpretacji i to jest jedno z miejsc, do których można takie informacje przesyłać i się dzielić wiedzą czy pomysłami.

MŚ: Ja również uczestniczyłem w podobnych grupach, na przykład tłumacząc *Szkarłatny płatek i biały* Michela Fabera, ale raczej nie archiwizuję znalezionych informacji, pracuję dość spontanicznie, chaotycznie, mam wszystko rozrzucone w komputerze, zdarza się, że piszę na serwetkach, skrawkach papieru i nigdy nie mogę się zebrać, żeby to jakoś ułożyć, bo po prostu brak mi na to czasu. Ale od przekazywania takich dodatkowych informacji czytelnikom mamy na przykład postówia. Kiedy pracowałem nad przekładem *Tajnego agenta* Josepha Conrada, poświęciłem postowiowi naprawdę sporo czasu, czytałem bardzo dużo o samej książce. To proces bez końca, podobnie jak tłumaczenie.

[Czy książki, które w oryginale pisane są w narracji pierwszoosobowej, tłumaczy się inaczej niż te pisane w trzeciej osobie?](#)

AL-J: Olga Tokarczuk czasem pisze w narracji pierwszoosobowej. Kiedy tłumaczyłam *Prowadź swój pług przez kości umarłych*, to po pierwszych 30 stronach czułam tembr głosu bohaterki. Najważniejsze jest, by słuchać tłumaczonego tekstu, czytać go na głos. Czytając – słuchasz. Kiedy tłumaczyłam *Lalę*, to miałam audiobook, gdzie Jacek sam czyta książkę, bardzo dużo mi to dało, wiele znalazłam dzięki temu, że to właśnie on czytał. I jeszcze na końcu czytam całość na głos po angielsku. Tekst musi się trochę śpiewać. Najlepsze teksty wcale nie muszą być płynne, mogą trzeszczeć i być kanciaste, ale jeśli czyta się to na głos dobrze, to uważam, że to dobry przekład.

Czy nasze historie do nas należą?

⇒ [Aleksandra Suchecka](#)

Wierzę w dobrą historię – przyznał John Boyne. Skąd jednak czerpać inspirację? O tajnikach pracy pisarza oraz o etyce pisania mieliśmy okazję posłuchać podczas spotkania z okazji premiery jego najnowszej książki *Drabina do nieba*.

Drugi dzień festiwalu rozpoczął się od spotkania z irlandzkim pisarzem, autorem jedenastu powieści dla dorosłych oraz pięciu dla młodzieży. Rozmowie, którą poprowadził Łukasz Wojtusik, towarzyszyła polska premiera książki Johna Boyne’a *Drabina do nieba* (tłum. Jan Kabat), do tychczas wyróżnionej w wielu plebiscytach, m.in. przez „Washington Post” oraz „Esquire Town & Country”.

Pisanie o pisaniu

Większość z obecnych na spotkaniu nie miała jeszcze okazji przeczytać powieści, więc rozmowa krążyła wokół zagadnień metaliterackich – co to znaczy być pisarzem, jak wygląda praca twórcza oraz skąd czerpać inspirację. *Drabina do nieba* jest opowieścią o pisarzach oraz o świecie literackim, w którym funkcjonują, dlatego piątkowa rozmowa w Sopotece była znakomitą propozycją interpretacji książki oraz suplementem, dzięki któremu przyszli czytelnicy będą mogli poznać także prawdę o trudach pisarskich autora książki.

Od czytania do pisania

Łukasz Wojtusik rozpoczął rozmowę od anegdoty, w której jeden pisarz mówi do drugiego: „Słuchaj, opowiem ci świetną historię!”, po czym dodaje: „Albo nie... jednak nie”. Boyne podczas spotkania podważył wiele mitów, które urosły wokół pracy pisarza – przede wszystkim zakwestionował przekonanie o tym, że literaci rozmawiają głównie o literaturze oraz że każda historia, którą pisarz oferuje czytelnikom, powinna być nowatorska i oryginalna: – Nie uważam, że wszystkie historie zostały już napisane. Z literaturą jest jak z muzyką, niby mamy tylko dwanaście nut, ale możemy z nich stworzyć nieskończoną ilość muzycznych wariacji – podsumował Boyne. Inspiracji

do kolejnych fabuł pisarze powinni zatem szukać przede wszystkim w innych powieściach: – Dobry pisarz musi dużo czytać. Jestem również krytykiem w „Irish Times”. Kocham książki, dlatego bardzo dużo czytam – przyznał autor.

Kradzież cudzych historii

Drabina do nieba jest opowieścią o młodym pisarzu, który posiada talent pisarski, ale nie posiada wyobraźni. Wyjście z tej trudnej sytuacji, która nie pozwala mu pisać, odnajduje w czerpaniu inspiracji z relacji z innymi pisarzami, podkradając ich oryginalne fabuły. Autorska inspiracja do napisania takiej historii wynika z refleksji Boyne’a nad tym, do kogo należą historie opowiedziane przez niepiszących, ale zapisane przez pisarza: – Opowiadanie cudzej historii wiąże się z pytaniem o własność literacką oraz pytaniem o ambicje pisarza. Kradnę opowieści innych ludzi, dlatego proszę nie opowiadajcie mi swoich historii! – zażartował autor. Podczas spotkania Boyne pozostawił nam opowieść o sobie, która należy już do nas i to od nas zależy, co z nią zrobimy.

”

Z literaturą jest jak z muzyką, niby mamy tylko dwanaście nut, ale możemy z nich stworzyć nieskończoną ilość muzycznych wariacji.

Sztuka jest celebracją życia. Spotkanie z Érikiem-Emmanuelem Schmittem

⇒ [Dominika Prais](#)

Éric-Emmanuel Schmitt uczy życia – taki wniosek nasuwa się nie tylko po przeczytaniu jego książek, ale i po spotkaniu z nim. Podczas niedzielnej rozmowy w Państwowej Galerii Sztuki pisarz mówił między innymi o tym, że akceptacja tajemnic, jakie kryje w sobie rzeczywistość, czyni nas bogatszymi, zaś drogą do szczęścia nie jest wyrzekanie się smutku, a jego pokochanie.

Schmitt przyjechał do Polski, aby promować swoją najnowszą, przetłumaczoną na język polski, książkę *Madame Pylinska i sekret Chopina*. Opowiada ona o nietypowych lekcjach gry na fortepianie, jakich głównemu bohaterowi udzielała ekscentryczna nauczycielka, madame Pylinska. Autor oparł tę opowieść na osobistym doświadczeniu. Podczas studiów w Paryżu rzeczywiście poznał Polkę o nietuzinkowym sposobie bycia, która miała pomóc mu w doskonaleniu warsztatu. – To było jednak coś więcej niż lekcje gry na fortepianie. To była nauka życia. Dzięki niej stałem się bardziej delikatny i zacząłem patrzeć na świat uważniej. Nauczyłem się pisać tak, jak Chopin tworzył muzykę – wyznaje pisarz. Trudno oprzeć się wrażeniu, że taką nauką życia było również dla czytelników spotkanie z autorem.

Tajemnica

– Sztuka uczy nas kochać świat, ale nie zawsze sprawia, że lepiej go rozumiemy – mówi Schmitt. Jego zdaniem zrozumienie zawichości i złożoności otaczającej nas rzeczywistości nie jest zresztą celem człowieka. Życie powinno bowiem kryć w sobie tajemnice. – Gdy je zaakceptujemy, odkryjemy, jak jest ono pełne.

Muzyka

Ogromną pasją Schmitta oraz bohaterką kilku jego książek jest muzyka. – Ma moc docierania do najbardziej intymnych rejonów człowieka bez słów – mówi pisarz. Dlatego, jak przyznaje, wolałby być muzykiem, co można zauważyć w jego twórczości subtelnie podszytej nostalgią za tym niespełnionym marzeniem. Zapytany przez jednego z widzów o to, czy po książkach poświęconych Beethovenowi, Mozartowi i Chopinowi planuje kolejne w tym nurcie, odpowiada, że chciałby jeszcze napisać o Schubercie oraz Bachu, którego uznaje za swojego nauczyciela radości.

Kobiecość

Większą rolę niż kompozytorzy odgrywają w twórczości Schmitta kobiety. Pisarz stwierdza, że zawsze był



fot. Bogna Kociumbas

feministą, a pisanie pozwala mu spojrzeć na rzeczywistość oczami kobiety. – To bardzo wzbogacające dla mężczyzny – mówi i jednocześnie przyznaje, że początkowo nie czuł się z tym doświadczeniem komfortowo. Wszystko zmieniło się, gdy zaczął pisać sztuki teatralne, które zmusiły go do tworzenia postaci kobiecych i niejako wchodzenia w ich rolę. W swoich dziełach kreuje kobiety silne, ale jednocześnie wrażliwe. Na pytanie o to, czego kobietom zazdrości, skoro tak chętnie wciela się w kobietą psychikę, odpowiada: inteligencji ciała. – Ciało kobiety wiele wyraża. Naturalne jest, że ból nieustannie miesza się w nim z ekstazą – mówi. – Bardzo cenię też wartości kobiece. Kobieta troszczy się o życie, które daje, podczas gdy mężczyzna dba tylko o swoją wielkość i władzę.

Uchodźca

Podczas rozmowy pojawia się także temat uchodźców, który Schmitt podjął w książce *Ulisses z Bagdadu*. – Jestem dumny z tej powieści, ponieważ były premier Belgii i późniejszy szef Rady Europy, Herman Van Rompuy, po jej przeczytaniu postanowił zmienić belgijskie prawo w zakresie przyjmowania imigrantów. Wreszcie miałem poczucie, że zrobiłem coś pożytecznego – przyznaje. Jego zdaniem imigracja jest tragedią i nie ma dla niej jednego, prostego rozwiązania. A do tego właśnie, jak twierdzi, dążą politycy. – Tym, czego w nich nie lubię, jest kreowanie wroga, dla nazistów byli to Żydzi, dla ubogich to ludzie bogaci. Ciągłe szukamy gdzieś wrogów. Ja natomiast w każdym widzę człowieka – mówi.

Życie

Możliwe, że jego poszanowanie dla drugiego człowieka sięga okresu dzieciństwa. Gdy Schmitt był dzieckiem, jego ojciec dwa razy w tygodniu zabierał go do szpitala, gdzie pracował jako dziecięcy terapeuta. Tam spędzał czas z rówieśnikami dotkniętymi różnymi rodzajami niepełnosprawności. – Dzięki temu zdałem sobie sprawę, że nikt nie jest nieśmiertelny, dlatego musimy przeżyć życie jak najintensywniej – mówi. Sam stara się wcielać w życie tę zasadę. Píše książki i scenariusze teatralne, prowadzi własny teatr i występuje na jego deskach. Po co to robi? Odpowiada zawsze w taki sam sposób: Bo jestem żywy i nie chcę stracić z życia ani sekundy.

”

Zdałem sobie sprawę, że nikt nie jest nieśmiertelny, dlatego musimy przeżyć życie jak najintensywniej.

W tego typu historiach najfajniejsze jest to, że nigdy nie są zamknięte – rozmowa z Anną Krztoń

⇒ [Paulina Frankiewicz](#)

O miejscu kobiet na polskiej scenie komiksowej, autobiografizmie i nostalgii opowiada Anna Krztoń, autorka powieści graficznej *Weź się w garść*.

Spotykamy się w Miejscu – nowej kameralnej przestrzeni sprzyjającej szczególnie fanom komiksów (jeśli nie zaliczacie się do tej kategorii, wciąż jesteście tu mile widziani!). Na ścianach wisi wystawa z planszami autorki, a w tle słychać odgłosy przejeżdżających pociągów.

Paulina Frankiewicz: Pierwsze, co poczułam, gdy skończyłam czytać twój komiks, to ukłucie zazdrości, że udało ci się nawiązać tak silne przyjaźnie. Relacje niełatwe, wystawiane na próby i dużą odległość, ale za to bardzo intensywne. To z ich powodu postanowiłaś stworzyć *Weź się w garść*?

Anna Krztoń: To była historia, która bardzo długo we mnie siedziała, miałam potrzebę jej opowiedzenia, bo dotyczy bliskich mi osób i był taki moment w moim życiu, że nie dawało mi spokoju to, jak nasze losy się potoczyły. Straciłam kontakt z jedną z bohaterek, a komiks był swego rodzaju próbą poradzenia sobie z jej nieobecnością. Chciałam sobie przypomnieć, jak Iga wygląda, jakie jest brzmienie jej głosu, o czym rozmawialiśmy przez lata naszej przyjaźni. Zaczęłam rysować pierwsze strony z myślą o tym, że to będzie krótka historyjka do zina (czyli mniejszego, niezależnego komiksu, którego nakład sięga około 300 egzemplarzy – przyp. PF), gdzie opowiem o paczce przyjaciół, która się poznała przez listy i o naszych spotkaniach w Częstochowie. Tak dobrze mi się nad tym pracowało, że powstała z tego dłuższa historia. Była to pewnego rodzaju terapia, ale też przyjemność powrotu do tamtych czasów. Kiedy dostałam stypendium Gildii i Wydawnictwo Komiksowe podpisało ze mną umowę na pełnowymiarowy komiks, projekt nabrał rozpędu.

Iga, Asia i Ania poznały się w czasach, kiedy nie było stałego dostępu do sieci, wysyłało się listy i odwiedzało się wzajemnie. Wydaje mi się, że dziś dużo trudniej jest nawiązać takie prawdziwe przyjaźnie, kiedy wszystko mamy na wyciągnięcie ręki i nie trzeba się tak starać.

Też bardzo długo tak myślałam. Miałam poczucie, że w wieku, w którym teraz jestem, nie byłabym w stanie zbudować takiej mocnej przyjaźni z kimkolwiek. Przecież wymaga to wysiłku. Teraz myślę, że to jest kwestia stylu życia – twojego i tej drugiej osoby. W niedalekiej przeszłości zawarłam dwie ważne przyjaźnie, w tym z dziewczyną,

która aktualnie mieszka w Niemczech, więc spotykamy się, jeżdżąc do siebie lub umawiając się w jej rodzinnym domu. Od paru lat mam przyjaciela, z którym najchętniej na świecie jeżdżę na festiwale. Myślę więc, że kluczem do nawiązania silnej więzi jest jednak wspólne spędzanie czasu. Im jesteś starsza, tym jest to trudniejsze. Prawie wszyscy mają stałą pracę, dzieci i kredyty. Ale ja nadal tego nie mam. Mam za to czas. Wydaje mi się, że kiedy byliśmy młodszy, było większe prawdopodobieństwo, że z którąś z osób, które poznasz, nawiążesz taką zażyłość. W czasach offline łatwiej można było zweryfikować, komu zależy i kto chce się naprawdę zaangażować w relację.

Pod epilogiem pojawia się data: wrzesień 2018. Historia doczeka się kontynuacji?

Może za dziesięć lat. Życie moich bohaterek się bardzo pozmieniało. W tego typu historiach najfajniejsze jest to, że nigdy nie są zamknięte.

Na poziomie fabuły ten komiks jest bardziej o innych niż o tobie. Dlaczego?

Od początku takie było moje założenie. Czułam, że mam coś ważnego do powiedzenia, że ta historia ma ponadindywidualny sens. Utwierdziłam się w tym przekonaniu już po publikacji, kiedy otrzymałam masę wiadomości, że taki komiks był potrzebny, że ludzie odnajdują w nim swoje problemy. O to mi chodziło. Nie zamierzałam udawać psychologa czy psychiatry i robić komiksu edukacyjnego o depresji. Chciałam opowiedzieć ze swojej perspektywy o tym, co mnie dotknęło w historii, która była dla mnie ważna, a także o tym, że czasem nie rozumiemy tego, co dzieje się z bliskimi nam ludźmi. Moja główna bohaterka przez długi czas nie rozumiała tego, co się dzieje. Do dzisiaj nie daje mi to spokoju, że być może mogłam być większym wsparciem dla moich przyjaciółek. Teraz wiem, że potrzebowałam momentu, w którym sama zaczęłam mieć swoje problemy, żeby zdać sobie sprawę z tego, jak to wygląda. Jest to więc także komiks o próbie zrozumienia depresji z perspektywy osoby zdrowej. Nie ma wielu komiksów przyjmujących tę optykę. Teraz przychodzą mi do głowy *Rycerze świętego Wita* Davida B. i *Niebieskie pigułki* Frederika Peetersa. Także dlatego ta perspektywa osoby trzeciej wydała mi się ciekawa.

Sytuujesz swoją twórczość w nurcie feministycznym? Twój komiks często określa się mianem dziewczyńskiego.

Określenie dziewczyński zawsze wydawało mi się pejoratywne. Na pewno identyfikuję się jako feministka i interesuje mnie opowiadanie o kobietach, ale pracując nad komiksem, nie miałam podłoża ideologicznego. Nie tworzyłam pod konkretną tezę. To historia o dziewczynach, a później kobietach, osadzona w ich świecie, gdzie mężczyźni grają rolę drugoplanowe. Nawet związki, w których są główne bohaterki, to sprawy, które się pojawiają, znikają, czasami mają większy wpływ na fabułę, ale ogólnie nie są tym, co definiuje bohaterki.

Opowiadasz historię o dużej doniosłości społecznej.

Tak miało być. Towarzyszy mi takie poczucie, że nie mam żadnych nowatorskich czy odkrywczych rzeczy do powiedzenia na poziomie ideologii. Lubię opowiadać historie, które znam. Nawet jeśli chcę, żeby miało to wydźwięk feministyczny, to są to bardziej narracje społeczne niż polityczne czy ideologiczne. W planach mam na przykład



fot. Paulina Frankiewicz

projekt o dojrzewaniu seksualnym dziewczyn z mojego pokolenia. To są tematy, które mnie interesują. Są feministyczne, ale nie mam potrzeby wpisywania ich pod feministyczną agendę. Chyba nawet brakowałoby mi do tego odwagi. Bardzo intuicyjnie podchodzę do swojej twórczości, sama rzadko ją definiuję. Jest raczej tak, że to inni mówią o moich pracach: „to jest nostalgiczne, to jest feministyczne”. Wtedy jestem zadowolona, bo o to mi chodziło, ale sama nie użyłabym tak mocnych słów.

Twoja twórczość jest czysto autobiograficzna czy tworzysz również fikcję?

Bohaterki *Weź się w garść* bardzo wiernie odzwierciedlają moje przyjaciółki, chociaż starałam się uszanować ich prywatność. Tworzę także historie, w których rzeczywiste zdarzenie stanowi jedynie punkt wyjścia, a czasami także takie całkiem zmyślane. Niedawno zaczęłam prace nad horrorem, który zamówił u mnie Jerzy Łanuszewski z Wydawnictwa 23. Komiks jest jedynie luźno inspirowany pewnymi motywami z mojego dzieciństwa. Natomiast w tym roku narysowałam ciąg mniejszych plansz autobiograficznych publikowanych w kolejnych zinach, z których powoli wyłaniają się linie fabularne, np. wątek choroby mojej babci czy narodziny dziecka mojego brata. Mam plan, żeby zebrać wszystkie te prace i wydać je w jednym zbiorze. Niektóre swoje komiksy traktuję jako outlety pewnych emocji czy kronikę zmian w życiu prywatnym.

Zauważam taką prawidłowość, że komiksy tworzone przez kobiety zazwyczaj są autobiograficzne. Ukazuje się ich dużo mniej, więc można to łatwo prześledzić.

To prawda, chociaż ostatnio mieliśmy dużo autobiograficznych komiksów mężczyzn, np. *Jak schudnąć 30 kg* Macieja Pałki i Tomasza Pstrągowskiego. Mam sporo znajomych komikarzy, którzy tworzą mocno autobiograficzne rzeczy, ale nie mówią o tym wprost. Wykorzystują pewne motywy ze swojego życia, modyfikują je i to jest super. Ale z drugiej strony trochę mi takich otwarcie autobiograficznych męskich narracji brakuje. Więcej historii z życia ukazuje się u nas w ramach zagranicznych przekładów.

Może wasz autobiografizm wynika z próby zaznaczenia swojej obecności w komikсовym środowisku?

Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, może coś w tym jest. U mnie wygląda to tak, że lubię grzebać w swojej

historii i – przyznaję – przychodzi mi to z większą łatwością niż wymyślanie wszystkiego od zera. Kobiety tworzące komiksy o własnym życiu to bardzo świeża rzecz na polskim rynku. Komiks kobiecy ma ile? Może dziesięć, piętnaście lat, mało zostało zrobione, więc sięgnięcie po własne doświadczenia i przekucie ich w komiks jest bardzo kuszące. Odnosi się wrażenie, że tak naprawdę niezależnie o jakim swoim doświadczeniu opowiesz przez komiks, to będzie to nowatorskie, bo nikt wcześniej tego nie zrobił.

Zatrzymajmy się przy pojęciu komiksu kobiecego. Co to za twór?

Staram się tego pojęcia nie nadużywać, bo nie potrafię go klarownie zdefiniować. Bo czy to jest każdy komiks stworzony przez kobietę, nawet jeśli opowiada, dajmy na to, o pięciu facetach, którzy walczą ze zbrodnią? A co z kobiecymi historiami (współ)opowiedzianymi przez mężczyzn? Tu dobrym przykładem może być *Totalnie nie nostalgia*, którą do scenariusza Wandy Hagedorn narysował Jacek Frąś. Na pewno w próbie jasnego zdefiniowania komiksu kobiecego nie pomaga fakt, że analizę polskiego środowiska komikсового zajmują się sami zainteresowani, co jest średnio miarodajne.

Czujesz się nieswojo w środowisku komikсовym jako kobieta?

Nie. Wiem, że niektóre kobiety się tak czują i często pojawiają się głosy, że środowisko nie jest otwarte. To pewnie trochę zależy od osobistych doświadczeń. Jest bardzo dużo rzeczy, które mi się w środowisku nie podobają, wielu mężczyzn, którzy mogliby trzymać język za zębami zamiast rzucać seksistowskie komentarze. Często nie są to kwestie bezpośrednio dotyczące płci, chociaż mam poczucie, że gdybym była facetem, to pewnie bym tego nie usłyszała. Moje doświadczenia mimo to są raczej pozytywne, także dlatego, że wchodząc do środowiska, miałam duże wsparcie kolegów po fachu. Znajomi przychodzili na spotkania, kupowali prace, interesowali się tym, co robię i to było bardzo ważne. Jest też szczególnie silna grupa twórców w moim wieku, którym nic nie trzeba tłumaczyć, bo dla nich to, że dziewczyny też robią komiksy, jest oczywiste. To jest chyba tak, że starsze pokolenie komikarzy bywa jak starsze pokolenie w każdym innym miejscu pracy.

Twórczynie komiksów trzymają się razem?

Tak, dziewczyny są bardzo zintegrowane. Coraz silniejsza jest nasza solidarność i chęć wspólnego tworzenia. Organizujemy wspólnie stoiska na festiwalach, mamy swoje warsztaty i spotkania. Nie ma niezdrowej rywalizacji, choć muszę zaznaczyć, że kiedy wchodziłam na scenę zinową, to wprowadzili mnie na nią koledzy. Przykre jest to, że czasem nadal potrzebuję, by jakiś facet tupnął nogą i powiedział: „Ania ma rację” i dopiero wtedy ktoś zechce wysłuchać, co mam do powiedzenia. Ale lubię to środowisko. Jeśli twoje projekty są dobre albo jesteś w nich konsekwentny czy konsekwentna, to inni twórcy cię szybko zaakceptują jako część tego światka.

Wróćmy do odbioru twoich komiksów przez czytelników. *Weź się w garść* u wielu wywołuje nostalgię za dzieciństwem i dorastaniem na przełomie wieków – pisanie do siebie, jechanie na drugi koniec Polski, żeby spędzić razem kilka chwil. Komiks można czytać również jako próbę zapisu minionej epoki. Dla mnie takim fenomenem na wyginieciu są fanowskie wątki tej historii.

Ten aspekt jest mi akurat równie bliski, choć fanowską narrację zamieniłam na narrację twórcy. Teraz jeżdżę na festiwalach dużo częściej niż jako nastolatka uczestnicząca w mangowych konwentach. Obecność na imprezach to ważna i bardzo fajna część sceny zinowej. Tak zupełnie szczerze to, kiedy to rysowałam, nie myślałam o tym, że to będzie zapis pewnej epoki, chociaż cieszę się, że album może pełnić też taką funkcję. Raczej towarzyszyło mi przekonanie, że aby zachować wiarygodność, muszę pokazać świat, w którym żyły bohaterki. Nie ukrywam, że świetne było odkopywanie ulubionych piosenek czy książek, które wtedy czytałam. Ta część rysowania sprawiała mi największą przyjemność. Kiedy ludzie stwierdzają, że to dokument pewnej epoki, to ja mówię: „O, jak fajnie, nikt nie mówi głośno o tym, że autorka narysowała to dla własnej przyjemności”.

Pewnie część czytelników podzielała Wasze zainteresowania muzyczne czy literackie. Z drugiej strony gusta bohaterów są tak indywidualne, konkretne, namacalne, że każdy może w ich miejsce podstawić swoje własne i nadal mieć poczucie, że czyta o sobie. To indywidualizm, który rośnie do rozmiaru uniwersalizmu.

Zaskoczyło mnie to. Mam ochotę krzyczeć: „Gdzie byliście, kiedy jako nastolatka nie miałam z kim rozmawiać o mandze czy książkach?”. W małomiasteczkowej bańce często czułam się samotna. Bardzo mi się to podoba, że ludzie mogą identyfikować się z tą historią. Chociaż nie chciałabym, aby moja twórczość została odbierana – a pojawiło się kilka takich głosów – jako nostalgiczny pamiętniczek.

Co byś robiła, gdybyś nie rysowała komiksów?

Przez jakiś czas pracowałam na etacie jako grafik, ale nie dawało mi to satysfakcji. Kiedy byłam młodsza, pisałam i publikowałam poezję i występowałam w kabarecie literackim, potem zajmowałam się grafiką tradycyjną i byłam pewna, że pójdę na doktorat. Bardzo się cieszę, że robię to, co robię, ale nie zadeklaruję, że będę tworzyć komiksy przez resztę życia. Już kiedyś snułam plany, które straciły na aktualności. Dobrze jest tak, jak jest.

Opowieść o opowieściach – spotkanie z Isabel Greenberg

⇒ [Paulina Frankiewicz](#)

Ósmą edycję Literackiego Sopotu zamknął wieczór z Isabel Greenberg, autorką powieści graficznej *Encyklopedia Wczesnej Ziemi*. Uczestnicy spotkania usiedli możliwie blisko artystki, a mikrofon pozostawał w rękach nie tylko prowadzących – Justyny Suheckiej i Natalii Szostak – oraz tłumaczkki, ale także reprezentantki wydawcy oraz gości z sali. Tak intymna atmosfera przy wcale niemałej publiczności zdarza się w Państwowej Galerii Sztuki naprawdę rzadko.

Zważywszy na treść debiutanckiej (na chwilę obecną jedynej dostępnej w Polsce) książki Greenberg, jej tytuł może wydawać się co najmniej osobliwy. Czytelnicy otrzymują bowiem katalog greckich, słowiańskich, nordyckich i biblijnych opowieści poddanych obróbce przez wyobraźnię artystki.

Encyklopedia światów wyobrażonych

Greenberg nie ma problemu z puszczaniem wodzy fantazji, przekazy będące u źródeł naszej cywilizacji stały się kanwą, na której utkana została fabularnie spójna narracja jej komiksu. Niektóre mity i legendy zostały ubarwione w większym, inne w mniejszym stopniu – wyłapywanie smaczków artystka pozostawia odbiorcom dzieła. Skąd zatem encyklopedia? Taki tytuł Greenberg podała swojemu brytyjskiemu wydawcy, zanim na dobre zaczęła pracę nad książką. A że robocze tytuły mają to do siebie, że się do nich przywiązujemy, bo stanowią pewien drogowskaz podczas aktu tworzenia, możemy dziś czytać jedyną w swoim rodzaju, fantastyczną (w obydwu tego słowa znaczeniach) encyklopedię.

Młoda blondynka stworzyła komiks

Istotną część rozmowy stanowiło przyjęcie debiutu Greenberg w środowisku literackim. Inaczej niż u nas, w Wielkiej Brytanii po formę komiksową częściej sięgają kobiety, więc sam fakt wydania książki nie zrobił na nikim większego wrażenia. Co innego wygląd i wiek – artystka szybko zyskała miano młodej blond debutantki. Spotkali się Państwo kiedyś z podobną etykietką nadaną tworzącemu mężczyźnie? No właśnie, w Zjednoczonym Królestwie też się to nie zdarza. I choć taka promocja początkowo mogła przynosić pożądane rezultaty, jej zasięg skończył się wraz z wydaniem kolejnej książki (mimo trwającej młodości i zachowaniu koloru włosów twórczyni).

Na szczęście Greenberg nie zamierza się ograniczać – kilka tygodni temu skończyła prace nad trzecią powieścią graficzną. Jeśli natomiast chodzi o proces twórczy, ilustratorka przyznaje, że płeć stanowi ważny aspekt jej twórczości. Bazując na rdzennych historiach świata, stara się przydawać kobietom więcej siły, czyni je charakternymi, pełnowymiarowymi postaciami. Także z tego powodu sięgnęła po historię siostr Brontë, która w przyszłym roku ukaże się na Wyspach. Warto dodać, że i temu komiksowi towarzyszy idea opowiadania jako prymarnej misji jednostki. W *Glass Town* artystka wyrysowała nie tylko historię słynnych siostr, ale także wniknęła w wykreowane przez nie uniwersum. I tym razem rzeczywiste i wyobrażone (czy przez to mniej realne?) światy przenikają się w znany jedynie autorce sposób.

Miłośnicy gatunku

Kiedy mikrofon już oficjalnie trafił w ręce słuchaczy, głos zabrała kobieta w średnim wieku, dla której radiowy wywiad z Greenberg stanowił zachętę do przyjazdu do Sopotu z drugiego końca Polski. – To będzie pierwszy komiks, który przeczytam, ale już teraz wiem, że warto. Nie wykluczam, że stanę się miłośniczką tego gatunku – powiedziała. Odważne i publiczne odrzucenie pokutującego przekonania o komiksie jako upośledzonej formie literatury skierowanej do dzieci – takich czytelniczek i czytelników nam trzeba!

fot. Bogna Kociumbas



Ciążąca lekkość bytu

⇒ [Paulina Frankiewicz](#)

Czwartkowy wieczór. Nowo otwarta (piękna!) Księgarnia Smak Słowa dołącza do przestrzeni, w których rozgrywają się festiwalowe wydarzenia. W minimalistycznej, niezobowiązująco eleganckiej świątyni czytania wszystkie miejsca są zajęte, głównie przez kobiety. Czekają na spotkanie z Katie Green.

I nie ma w tym nic dziwnego, ponieważ spotkanie poświęcone jest autobiograficznej powieści graficznej opowiadającej o zmaganiu się z zaburzeniami żywienia. I choć nie ulega wątpliwości, że na anoreksję czy bulimie cierpią również mężczyźni, na tego typu choroby nadal o wiele częściej zapadają kobiety.

Obrazowość choroby

Green, autorka autobiograficznego komiksu *Lżejsza od swojego cienia*, wygląda równie niepozornie jak bohaterka komiksu. Nastolatka z powieści graficznej jest tą samą osobą, która dziś odpowiada na pytania Olgi Wróbel. Autorka świadomie zrezygnowała z jakiegokolwiek kreacji bohaterki. W sumiennie prowadzonej kronice walki z chorobą Green jest z czytelnikiem całkowicie szczerą. Swoją niełatwą w założeniach projekt prowadzi do końca, wierząc, iż autentyczna relacja może pomóc osobom cierpiącym na zaburzenia żywienia, a także uwrażliwić społeczeństwo na tego typu problemy.

Skąd pomysł na komiks? Green przyznaje, że początkowo planowała napisać klasyczną książkę, jednak uznała, że język powieści graficznej w bardziej przystępny sposób pozwoli zrozumieć, co dzieje się w głowie i ciele osoby chorej. Po lekturze *Lżejszej od swojego cienia* trudno byłoby się z autorką nie zgodzić.

Przeciwdziałanie wykluczeniu

Artystka wyraźnie odżegnuje się od tezy tworzenia komiksu jako terapii. Przyznaje, że był to emocjonalnie wyczerpujący proces. Prace nad książką zajęły jej pięć lat; tyle samo potrzebowała na nabranie dystansu i „wyzdrowienie”. Podczas dyskusji szczególnie cenne okazało się ukazanie społeczno-kulturowego postrzegania osób cierpiących na zaburzenia żywienia.

W przestrzeni publicznej wciąż pokutuje pogląd, że odbiegające od normy odżywianie jest wyborem, nie chorobą. Skutkuje to stygmatyzacją cierpiących na anoreksję czy bulimie. Kiedy do takiej postawy dołączymy wszechobecny kult ciała i zgrabnej sylwetki, poczucie wykluczenia i niezrozumienia osób takich jak Katie nie powinno dłużej budzić zaskoczenia czy obojętności. Komiks Green pozwala przezwyciężyć obecne w kulturze klisze i chociażby z tego powodu warto po niego sięgnąć, mimo że nie będzie to lekka lektura.

Na nowo opowiedziany mit o Edypie – spotkanie z Daisy Johnson

⇒ [Magdalena Bojanowska](#)

Drugi wieczór Literackiego Sopotu należał do kobiet, bowiem na scenie w Państwowej Galerii Sztuki pojawiło się ich aż pięć. Wszystko to w ramach spotkania z Daisy Johnson, brytyjską powieściopisarką, najmłodszą finalistką Nagrody Bookera, której książka *Pod powierzchnią* zaledwie kilka dni temu miała swoją premierę w Polsce.

Spotkanie z pisarką poprowadził duet dziennikarski: Natalia Szostak i Justyna Suchecka. Spotkanie tłumaczyła Paula Goszczyńska, a na język migowy przełożyły je Karolina Bocian i Kamila Skalska.

Kwestia talentu

Pierwsze pytanie, jakie zadały prowadzące, dotyczyło nominacji do Nagrody Bookera. Kiedy ją otrzymała, Johnson miała zaledwie 27 lat. – Może trochę już granicę z niewdzięcznością, kiedy mówię, że mam dosyć. Oczywiście byłam podekscytowana, będąc najmłodszą nominowaną, ale brytyjskie gazety rozpisywały się właśnie o moim wieku, a przecież nie o to chodzi w nagrodzie – wyznała pisarka. – Miałam wrażenie, że skupiano się nie na tym temacie, na którym powinno się skupiać. Po tym krótkim wprowadzeniu Johnson przeczytała fragment *Pod powierzchnią* w oryginale, a następnie tłumaczka Paula Goszczyńska przeczytała go po polsku.

Reinterpretacja mitu

– Zastanawiałam się długo nad tym, jak powinna wyglądać książka, która przepisuje pewien mit. Próbowałam znaleźć właściwą drogę i stwierdziłam, że najlepszym sposobem będzie opowiadanie mitu poprzez opowieść

córki do matki – powiedziała Johnson. Wyznała również, że bardzo często ludzie ją pytają, czy inspiracją do napisania książki były jej własne doświadczenia, czego autorka nie potwierdza. – Tak naprawdę jest to na nowo opowiedziany mit o Edypie – tłumaczyła. – Społeczeństwo zdaje się postrzegać każdą kobietę jako przeznaczoną do roli perfekcyjnej matki, a to nie tak i właśnie ten temat chciałam zgłębić.

Krytyczne pisanie i krytyczne czytanie

Brytyjka opowiedziała również o swojej metodzie pracy. Czasami po prostu kasuje to, co już napisała i pisze jeszcze raz od nowa: – Ucząc nastolatków, mówiłam im o horrorze usuwania i pisania od początku, podkreślałam, że to są tylko słowa, które można skasować, by potem stworzyć je na nowo. Kiedy spotyka młodych ludzi, którzy chcą pisać, zawsze powtarza im, że powinni czytać wszystkie książki, które wpadną im w ręce, ale w sposób krytyczny, tzn. zastanawiać się, dlaczego autor akurat tak napisał, a nie inaczej i jak oni sami na jego miejscu by to zrobili.

Na pytanie o plany na przyszłość Johnson powiedziała, że skończyła pisać książkę zatytułowaną *Sisters*, która ma ukazać się również w Polsce, a pomysł na kolejną już kietkuje w jej głowie. Zdradziła, że być może będzie ona o nieobecności. – Ale książka, o której dzisiaj mówię, też nie miała być o tym, o czym jest, więc zobaczmy – śmiała się na koniec Brytyjka.

”

Społeczeństwo zdaje się postrzegać każdą kobietę jako przeznaczoną do roli perfekcyjnej matki.

fot. Bogna Kociumbas



Nikt nie pytał – rozmowa z Joanną Ostrowską

⇒ [Natalia Soszyńska](#)

Wybierali młode i zdrowe kobiety, które otrzymywały cywilne ubrania i miały możliwość przeżycia w *puffie*. Wybiórki wyglądały tak: *Wystąpić! To był obóz, tam nikt nie pytał, czy ktoś chce, czy to komuś pasuje* – o książce *Przemilczane. Seksualna praca przymusowa kobiet w czasie II wojny światowej* opowiada Joanna Ostrowska.

Natalia Soszyńska: Pełny tytuł twojej książki brzmi *Przemilczane. Seksualna praca przymusowa kobiet w czasie II wojny światowej*. Każde z tych określeń jest bardzo ważne dla zrozumienia problemu kobiet.

Joanna Ostrowska: Od przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku historycy i historyczki zajmujący się przemocą seksualną w trakcie II wojny światowej dyskutują, jaka powinna być terminologia. Rozróżniamy historię relacji dobrowolnych i zjawiska związane z przemocą seksualną. Kiedyś mówiono raczej o przymusowej prostytucji. Teraz się od tego odchodzi na rzecz określenia „seksualna praca przymusowa”, co jest bardzo ważne w kontekście historycznym – historia pracy seksualnej, a nie historia prostytucji. Seksualna praca przymusowa była częścią biopolityki państwa nazistowskiego. Władze okupacyjne regulowały życie seksualne obywateli niemieckich oraz cywili na podbitych terenach. Można było fraternizować się z miejscową ludnością, ale tylko za zgodą władzy – tylko w domach publicznych kontrolowanych przez III Rzeszę. Wszelkie inne kontakty seksualne były zakazane. Do burdeli dla Niemców rekrutowano Polki. Kobiety nie mogły powiedzieć „nie” bez konsekwencji.

Czyli kobiety nie podejmowały decyzji?

W trakcie pracy nad książką na każdym kroku mierzyłam się z opinią, że kobiety dobrowolnie szły do pracy w domu publicznym. Szczególnie w przypadku obozów koncentracyjnych bardzo mocno działał „mit dobrowolnego meldunku”. Jeśli chodzi o kobiety z tzw. *puffy* zapominano o eksterminacji pośredniej (choroby, bicie, ciężka praca i głód). Zgodnie z zamysłem nazistów więźniarki skierowane do obozowego domu publicznego symbolicznie przestawałyby być częścią wspólnoty więźniów. Po wojnie zostały wymazane z pamięci jako „kolaborantki”.

Puff to była praca?

Tak, tak zwane „lekkie komando”. W taki sposób wybierano na początku na apelach w obozie kobiecym w Birkenau. Ogłaszano nabór do lekkiej pracy. To mogło oznaczać wszystko. Dom publiczny w KL Auschwitz I otwarto na przełomie września i października 1943 roku. Do pierwszej grupy kobiet wybrano także więźniarki z kategorii tzw. asocialnych. Część z nich była zawodowymi

prostytutkami. Nie oznacza to jednak, że na pewno chciały pracować w bloku 24a.

O kolaborację oskarżano także mężczyzn odwiedzających *puff*. Po wojnie niektórzy musieli publicznie przeproszać za te wizyty. Tematyka seksualnej pracy przymusowej była powoli wypierana, zapomniana i z czasem tabuizowana. Nie opowiadali zarówno mężczyźni, jak i kobiety. One były automatycznie uznane za zdrajczynie. A oni bali się, że stracą swój status bohatera – polskiego więźnia politycznego.

Ludzie bali się swojej wojennej przeszłości?

Didier Eribon w swojej książce *Powrót do Reims* przyznaje się do wstydu, że jego babce ogolono głowę po wojnie. Nie była tradycyjną bohaterką. Nie wypadało opowiadać jej historii. Przyzwyczailiśmy się myśleć, że warto pamiętać tylko tych, którzy mają status bohaterów – najczęściej chodzi o działalność polityczną. „Inne” opowieści nie pasują do narodowej wersji historii. Stąd też moje bohaterki należą do grona zapomnianych ofiar nazizmu.

Wykluczenie, przemilczenie, zapominanie zawsze zaczyna się na poziomie języka. Jak nazywano kobiety, które zajmowały się seksualną pracą przymusową?

Jeszcze przed wojną pracownice seksualne były narażone na wykluczenie i agresję. Nie liczyło się to, czy praca seksualna to był tylko epizod, czy zawód. Na poziomie językowym moje bohaterki zawsze obrzucano inwektywami. Mówiono o nich: zakręty albo element. Zawsze były kryminalizowane. W trakcie wojny okupant traktował je jak przedmioty. Urządzano łapanek, wysyłano kontyngenty, zamawiano towar. Kobiety były całkowicie uprzedmiotowione.

Twoja książka to też świadectwo powojennego wstydu. To wstyd na wielu poziomach – na poziomie rodzinnym z powodu przeszłości krewnej, na poziomie społecznym. Kiedy kobiety oskarżano o kolaborację albo na poziomie narodowościowym. Tutaj wystarczy zerknąć na przytoczone w książce zapiski Zofii Kossak o Niemkach pracujących przymusowo w *puffach*. Teksty są pełne pogardy. Ten wstyd trwa do dziś. Nie można było swobodnie opowiadać o doświadczeniu przemocy seksualnej w okresie wojny. Od razu pojawiało się podejrzenie, czy osoba wygłaszająca taki pogląd sama nie ma nic na sumieniu. Dlatego nie mamy praktycznie świadectw seksualnych pracownic przymusowych. Mało jest też opowieści o nich samych. Po wojnie panował paniczny strach przed choćby podejrzeniem o doświadczenie związane z przemocą seksualną. Nie liczyło się, czy kobieta była w burdelu obozowym, czy została zgwałcona. Seksualność została całkowicie wyparta. Nie mówiono o ofiarach, sprawcach i o cierpieniu. Bywało, że donosy łąwały życiorysy i determinowały los kobiet na kolejne kilkadziesiąt lat. Wystarczyła plotka, że ktoś był w niemieckim burdelu. Piętno było bardzo trwałe.

Helena, Maria, Anna. Niewiele z tych kobiet znamy z imienia.

Kiedy zaczynałam pracę – w 2005 roku – bardzo chciałam jak najdokładniej poznać biografie kobiet, które były seksualnymi pracownicami przymusowymi. Życie większości z moich bohaterek ogranicza się do danych osobowych na listach transportowych. Jeśli mamy imię i nazwisko,

datę urodzenia i zawód, to już jest bardzo dużo. Czasem to tylko i wyłącznie inicjały. Niewiele z tych kobiet zostało relacje. Część z nich „przetrwiała” tylko w dokumentacji policyjnej – zeznania składane w sytuacji zagrożenia życia i zdrowia. Łatwiej było znaleźć informacje o wyposażeniu domów publicznych, niż dotrzeć do świadków. Bardzo szybko okazało się, że pracuję na fragmentach biografii i mikrohistorii.

Po publikacji *Przemilczanych* czytelnicy i czytelniczki zostawiają mi swoje historie – uzupełniają luki, które pojawiły się w mojej opowieści o seksualnej pracy przymusowej. Ich wspomnienia o matkach, siostrach, ciotkach, babkach stają się częścią naszej pamięci zbiorowej. Dzięki tym spotkaniom będę miała szansę uzupełnić książkę w drugim wydaniu, które jest planowane na 2021 rok.

Pracowałaś na skrawkach, a przecież prawie każdy z nas zna podobną historię przemocy seksualnej z czasów okupacji.

Mam wrażenie, że czas na zbiorowe przypominanie tej historii to były lata pięćdziesiąte XX wieku. Niestety w tamtym okresie nadal nikt nie pytał świadków. Obowiązywało tabu. Wszystkich swoich rozmówców – mężczyzn i kobiety – zawsze pytałam, dlaczego nie opowiadaliście? Odpowiedź była bardzo prosta: Nikt nie pytał. Nikogo to nie interesowało. Dodatkowym argumentem przeciwko temu był strach. Po co narażać się innym bytami więzienia? Po co wspominać coś, co zostało powszechnie wyparte?

Barbara, o której piszę we wstępie do książki, została zgwałcona przez żołnierzy radzieckich jako kilkunastoletnia dziewczynka. Byłam pierwszą osobą, której opowiedziała o tym epizodzie. Po prostu poczuła, że przyszedł odpowiedni czas na jej historię. Milczała zbyt długo. Ja po prostu pojawiłam się w jej życiu w odpowiednim momencie. W każdej rodzinie są fragmenty z przeszłości wojennej, o które raczej nie pytano. Większość z nich to opowieści o przemocy seksualnej. Teraz można już tylko wspominać sam proces przemilczania – moje bohaterki już nie mogą zostawić świadectwa.



fot. Bogna Kociumbas

Zapominać nie wolno – rozmowa o pogromie listopadowym we Lwowie

⇒ Julia Kapoła

Spotkanie z autorem książki *Lwów – kres iluzji*. Opowieść o pogromie listopadowym, Grzegorzem Gaudenem, zgromadziła w ostatni dzień festiwalu pełną salę w Państwowej Galerii Sztuki. Gdy Joanna Cichocka-Guła, dyrektor festiwalu Literacki Sopot, przedstawiała gości, zapowiedziała, że będzie to rozmowa trudna. Była to w istocie wnikliwa i bardzo potrzebna rozmowa o historii, moralności i prawdzie.

Na scenie obok autora zasiadł prowadzący spotkanie Marian Turski, który na samym początku z ujmującą szczerością zaznaczył, że choć wie, że powinien zwracać się do Gaudena per pan, to z uwagi na trzydziestoletnią znajomość będzie mówił do niego po imieniu.

Był to punkt wyjścia do dyskusji, która od początku do końca miała charakter rozmowy przyjaciół, dla których temat ma wyraźnie osobisty charakter. – Ja ci tej książki po prostu zazdroszczę – powiedział z uśmiechem Marian Turski. Prowadzący już na początku zaznaczył, że interesuje go geneza książki, jak autor do wszystkiego doszedł oraz wnioski na przyszłość. Zaczęło się od lwowskiego antysemityzmu. Pytanie o to, czy był, czy go nie było, jest przecież przewrotne i retoryczne. – Był i miał się wyśmienicie – odpowiedział Gauden.

Rozmowa zeszła na temat warsztatu oraz źródeł, tak bardzo dobrze udokumentowanych w książce. Autor opowiedział o tym, jak wyglądał proces studiowania lwowskich archiwów i co chciał osiągnąć. Przyznał, że



fot. Bogna Kociumbas

życzył sobie, aby wszystko, co ważne, czytelnik znalazł w książce, a nie przypisach. Dodał, że często jest tak, że te najważniejsze rzeczy są właśnie pod tekstem. U niego w przypisach widnieją tylko odniesienia do źródeł.

Kluczowym elementem spotkania była rozmowa na temat dotychczasowej inercji polskich historyków w kwestii badań nad pogromem listopadowym. Autor przyznał, że brak literatury na ten temat był jednym z powodów, dla których zdecydował się na pracę nad książką. Marian Turski postanowił wcielić się w rolę adwokata diabła. Przewrotne pytania o rolę milicji żydowskiej i tego, czy jej postawa wobec Polaków mogła przyczynić się do pogromu, sprowadziła rozmowę na temat kwestii neutralności, podziału my – oni oraz asymilacji żydowskiej. Gauden skontatował, że wydarzenia we Lwowie były największą klęską propagatorów asymilacji, ponieważ to oni wierzyli, że Żydzi mogą być równoprawnymi obywatelami w wolnej Polsce.

– Największą sztuką jest zapomnieć – Turski odwołał się do słów rabina Nachmana z Bracławia. Gauden skontrował tę myśl, mówiąc, że zapominać nie wolno. – Wstyd jest uczuciem ludzi przyzwoitych – dodał. Zapytany przez uczestniczkę spotkania o to, jakie przesłanie chciałby przekazać dzięki tej książce, odpowiedział, że choć zabrzmi to patetycznie, to przede wszystkim to, abyśmy chronili się od nienawiści. – To jest lekcja, która nas dotyczy. To są nasi przodkowie, a nie żaden obcy. Dodał, że znamienne jest, że w pierwszych minutach wolności we Lwowie Polacy ruszyli mordować żydowskich sąsiadów. Trudno się z tym nie zgodzić. – Powinniśmy być uważni, kiedy w przestrzeni publicznej pojawiają się hasła nawołujące do nienawiści, bo mogą mieć katastrofalne skutki – spuentował autor.

”

*Wstyd jest uczuciem
ludzi przyzwoitych.*

Poniżenie czy droga do społecznego awansu?

⇒ *Aleksandra Chmielewska*

Co łączy dwie wydane w ubiegłym roku książki – *Służące do wszystkiego* Joanny Kuciel-Frydryszak i *Anioł w domu. Mrówka w fabryce* Alicji Urbanik-Kopeć oprócz faktu, że pierwsza z nich została uhonorowana Nagrodą Historyczną „Polityki” 2019, a druga otrzymała do tej nagrody nominację?

Okazuje się, że jest bardzo wiele motywów łączących życie służących i robotnic przełomu XIX i XX wieku. Za kulisy życia sportretowanych przez Kuciel-Frydryszak i Urbanik-Kopeć grup społecznych można było wniknąć podczas spotkania z autorkami, które odbyło się 15 sierpnia w Teatrze Wybrzeże.

Jak mrówki

Na początku rozmowy Urbanik-Kopeć wyznała, że kiedy rozpoczynała pracę nad swoją książką, nie miała pojęcia, jak bardzo sfeminizowany był przemysł włókienniczy. 50% zatrudnionych tam osób stanowiły kobiety, z czego niektóre oddziały, tak jak oddział szpularek, były domeną wyłącznie płci pięknej. W fabrykach pracowały też dzieci, co w wielu wypadkach – na przykład w Żyrardowie, gdzie praca w fabryce łączyła całe rodziny – wynikało z tego, że kobiety nie miały z kim zostawić dzieci w domu.

Urbanik-Kopeć opisała też mało komfortowe warunki pracy w fabryce, gdzie kobiety pracowały na stojąco, w wielkim pomieszczeniu. Stanowiska były ustawione rzędami, w ten sposób, że pracownice widziały plecy tych pracujących przed nimi, a pomiędzy

rzędami przechadzali się nadzorcy, sprawdzając, czy kobiety pracują i czy nie rozmawiają ze sobą. Stanowiska mogły też przylegać do ścian pomieszczenia, pośrodku którego siedział nadzorca, kontrolujący ich pracę. Autorka książki *Anioł w domu. Mrówka w fabryce* podkreśliła, że ciężkie warunki pracy kobiet, szczególnie tych, które pracowały w przemyśle chemicznym, często były przyczyną chorób. W powietrzu unosiły się różnego rodzaju wyziewy chemiczne; przez mikrowłókna pracownice zapadały na pylicę płuc. Warunki pracy wpływały na specyficzny ubiór zatrudnionych w fabryce. Kobiety często pracowały przy maszynach, które mogły wciągnąć fragmenty ich ubrań, co powodowało kalectwo – dlatego niezbędne było noszenie specjalnych fartuchów bez rękawów.

Praca czy niewolnictwo?

Następnie głos zabrała Kuciel-Frydryszak, która rozpoczęła od wyjaśnienia kwestii związanej z domniemaną dwuznacznością tytułu swojej książki. – Tytuł książki może budzić rozmaite skojarzenia, ale nie o to tu chodziło. Pracodawcy faktycznie poszukiwali kobiet, które zajmą się wszystkim. „Służącej do wszystkiego poszukuje się” brzmiały ogłoszenia zamieszczane w gazetach; albo „Służąca do wszystkiego, ładnie pierze, dobrze gotuje, poleca się” informowały panie oferujące swoje usługi.

– W Polsce po pierwszej wojnie światowej znacząco wzrosła ilość służących, pod koniec lat trzydziestych XX wieku tę grupę zawodową reprezentowało już 450 tys. osób, z zastrzeżeniem, że część pracodawców nie rejestrowała swoich służących. Był to zawód sfeminizowany, bo aż 96% służących stanowiły panie – opowiadała Kuciel-Frydryszak. Autorka *Służących do wszystkiego* zwróciła uwagę na to, że pani mogła zdecydować, jakie imię będzie nosiła służąca. Na przykład mimo że dziewczyna miała na imię Anna, była nazywana Marysią, bo tak nazywała się poprzednia służąca. A to tylko jeden z wielu – dziś powiedzielibyśmy – poniżających elementów życia dziewczyny „do wszystkiego”.



fot. Bogna Kociumbas

Drogi awansu społecznego

Dawne służące, często jeszcze niepełnoletnie, każdego dnia musiały wstawać o 5 rano i wykonywać do późnej nocy prace, przy których zdarzało im się mdleć. Mieszczańskie mieszkania miały niekiedy bardzo dużą powierzchnię, a dziewczęta musiały przez cały czas froterować podłogi na kolanach, bo panie miały kaprys, że podłoga musi lśnić jak lustro. Oczywiście była to tylko jedna z bardzo wielu czynności – od podawania państwu wody do zajmowania się dzieckiem, przez niezliczone posługi osobiste, takie jak zdejmowanie butów panu. Służąca musiała być przygotowana na zaspokajanie najrozmaitszych kaprysów chlebobawców, ponieważ nie było czegoś takiego, jak jasno sprecyzowana umowa.

Zapytana o czas wolny służących Kuciel-Frydryszak opisała fascynujące znalezisko z miesięcznika dla pań z początku lat trzydziestych XX wieku. Kobiety licytowały się w nim, w jaki sposób usprawniają pracę swoim służącym i nadsyłały swoje plany, dzięki którym służąca wiedziała, co ma robić w ciągu dnia. – Wynikało z tego, że służące miały zaledwie pół godziny czasu wolnego – podkreśliła Kuciel-Frydryszak. Autorka jednocześnie zwróciła uwagę, że pomimo rozlicznych wad takiej pracy, mimo że dziewczęta często nie miały własnego mieszkania i życia rodzinnego, musiały spać w kuchni lub słuźbówce swojego chlebobawcy, otrzymywały gorsze jedzenie lub resztki, matki dziewcząt ze wsi wprost marzyły o tym, żeby ich córki nie musiały pasać krów na wsi i zostały zatrudnione w mieszczańskim domu.

– Ten aspekt związany z awansem społecznym – zauważyła Urbanik-Kopeć – to motyw wspólny opisywanych przez nas grup społecznych. Życie robotnicy, mimo że pełne problemów, również było dla wielu dziewcząt synonimem sukcesu. Robotnica miała mnóstwo utrapień – jednym z nich był nadzorca, który za każde przewinienie, na przykład za spóźnienie powyżej 5 minut czy odezwanie się bez potrzeby, potraçał jej z dniówki. Mimo to przyjęcie do pracy w fabryce, na przykład w Żyrardowie, było ogromnym honorem, bo tam pracowała cała rodzina i wszyscy znajomi; żeby się tam dostać, dziewczyna musiała mieć ukończone kilka klas szkoły przedfabrycznej, a potem otrzymać protekcję ojca albo matki. Nieco inaczej było w fabrykach takich jak w Łodzi, gdzie często zatrudniano dziewczęta ze wsi, które najpierw musiały iść pieszo do najbliższej stacji kolejowej, a następnie wsiadały w pociąg w pogoni za pracą.

Granice poświęcenia

– W latach siedemdziesiątych XX wieku – przytoczyła anegdotę Urbanik-Kopeć – dawne robotnice były przepytywane przez studentów Uniwersytetu Warszawskiego, którzy pytali je o wspomnienia z młodości. Te starsze panie, które zaczynały pracę jeszcze przed I wojną światową, miały tylko dobre wspomnienia z pracy fabryce. Dla nich to było niezwykle, że dostawały własną wypłatę; jedna pani wspominała na przykład z ogromnym sentymentem, jak kupiła sobie bluzkę za pierwsze pieniądze. To niewyobrażalne, jak bardzo realia historyczno-społeczne są w stanie zmienić potrzeby i oczekiwania kobiet, a także granice poświęcenia, które są w stanie wytrzymać. Jednak mimo upływu czasu, widać, że pewne motory działania, takie jak ambicja, potrzeba awansu i zawodowej niezależności, pozostały niezmiennie.

Tytanki pracy

⇒ [Klaudia Czaboryk](#)

Spotkanie z Olgą Wiechnik, autorką książki *Posępki. Osiem pierwszych kobiet, odbyło się w ogrodzie Muzeum Sopotu w sobotnie popołudnie. Goście przybyli licznie i zapewne nie żałowali swojej decyzji, bo rozmowa Dagny Kurdwanowskiej z pisarką była ciekawa i dająca do myślenia.*

Już na początku padło stwierdzenie, że książka Wiechnik jest dziełem potrzebnym, poruszającym i, zdaniem prowadzącej, jednym z najważniejszych, które ukazały się w tym roku. Jest to historia kobiet, które za życia borykały się z samotnością i niezrozumieniem, a później zostały zapomniane.

Walka o prawa

Wiechnik przyznała, że rok 2018, w którym obchodziliśmy setną rocznicę przyznania kobietom praw wyborczych, był dla niej pretekstem do przyjrzenia się temu, jak wyglądało życie kobiet po przyznaniu praw. Co więcej, jej zdaniem mówienie, że kobietom prawa zostały przyznane, jest dość nieadekwatne, bo kobiety sobie te prawa raczej wywalczyły. Otrzymały prawo wyborcze czynne i bierne, jednak ich prawa cywilne pozostawały zaniedbane – kobieta nie mogła pracować bez zgody męża i była zobowiązana do posłuszeństwa mężowi.

Wiechnik oparła całą książkę na materiałach archiwalnych. Chciała pokazać przede wszystkim życie osobiste ośmiu niesamowitych kobiet: Zofii Moraczewskiej, Ireny Kosmowskiej, Marii Moczydłowskiej, Jadwigi Dziubińskiej, Anny Piaseckiej, Gabrieli Balickiej, Zofii Sokolnickiej i Franciszki Wilczkowiakowej. Niestety, po większości z nich zostało mało pamiątek czy wspomnień. To dlatego Zofia Moraczewska, która zostawiła po sobie dużo materiałów, została nieformalną protagonistką i często pojawia się w książce. Co ciekawe, początkowo Zofia Moraczewska opisywała wszystko, myśląc o swoim

mężu, który był jej zdaniem wspaniałym mężem stanu. Jednak to właśnie te notatki oraz jej korespondencja z siostrą dostarczyły wielu istotnych informacji o jej życiu i o sytuacji kobiet w polityce. Autorka przyznała, że chcąc poznać życie prywatne swoich bohaterek, docierała również do ich krewnych i często dokonywała smutnego odkrycia, że obecnie mało interesujemy się swoimi przodkami i często po prostu o nich zapominamy.

Praca u podstaw

Kobiety, o których pisze Wiechnik, były niezwykle zaangażowane społecznie. Nie szły do Sejmu, aby zrobić tam karierę, szły, żeby naprawiać i ulepszać Kraj, bo głęboko wierzyły, że odbudowa państwa jest możliwa. Często rola kobiet jest pomniejszana, mówi się, że kobiety zajmowały się mało ważnymi rzeczami jak robienie kwest czy wręcz sprzedaż cukierków. Zapomina się, że one walczyły na froncie, przemyślały broń i ryzykowały swoje życie w takim samym stopniu jak mężczyźni. Problemem kobiet było jednak to, że od zawsze były uczone, żeby nie zabierać głosu, stać z tyłu, nie angażować się. Nikt nie uczył kobiet otwartego wypowiedzania się. Dlatego nawet wtedy, gdy doznawały „miękkiej agresji”, czyli żartów i drwin ze strony mężczyzn zasiadających w sejmie, nie reagowały. Pilnowały się, bo wiedziały, że były obserwowane i oceniane. Musiały działać i ignorować niedogodności, by walczyć o swoje, a walczyły o wiele. Postawie często nie widzieli problemu w sprawach, które dla kobiet były priorytetowe, jak np. reforma prawa cywilnego, która weszła pod obrady sejmowe dopiero po dwóch latach, bo zawsze znajdowano ważniejsze sprawy. Do myślenia skłania fakt, że za wybory, których dokonywały, płaciły różną cenę. Jedne nie zakładały rodziny, inne zakładały i miały wyrzuty sumienia, że zaniedbują dzieci albo pracę. Niektóre przytłoczyły zdrowiem swoją walkę o lepszą przyszłość. Co ciekawe, a jednocześnie smutne, to fakt, iż postulaty posłanek są ciągle aktualne. Kobiety dalej walczą choćby o równe płace. Podczas spotkania podkreślono jednak, że bez zaangażowania mężczyzn ciężko będzie coś zmienić. Potrzeba wspólnej pracy, bo tylko wtedy można coś osiągnąć.



fot. Bogna Kociumbas

Żal mi moich dziewczyn – spotkanie z Małgorzatą Rejmer

⇒ [Natalia Soszyńska](#)

Scena Kameralna Teatru Wybrzeże to doskonałe miejsce na rozmowy intymne, trudne, wymagające skupienia. Tak właśnie było podczas spotkania z Małgorzatą Rejmer pierwszego dnia festiwalu. Pisarka odpowiedziała na pytania Pawła Goźlińskiego, a swoją opowieścią o Albanii zahipnotyzowała publiczność.

Rejmer to pisarka inna niż wszystkie. Z niezwykłą łatwością porusza się po stylach i rytmach narracyjnych, często zmienia perspektywę, potrafi opowiadać zawite historie w prosty sposób. Co charakterystyczne dla jej książek, zawarte w nich opowieści wybrzmiewają ustami wielu bohaterów jednocześnie.

Szukam takich jak ja

Właśnie od sposobu tkania historii rozpoczęliśmy spotkanie w Teatrze Wybrzeże. Pisarka przyznała, że sama jest osobą, która szybko wchodzi w głębokie relacje i dość łatwo wyczuwa intencje człowieka, z którym rozmawia. To właśnie intuicja i umiejętność słuchania spowodowały, że nie zniechęciła się do pisania o izolacji Albanii i niewyobrażalnym cierpieniu jej mieszkańców. Rejmer przyznała, że najłatwiej prowadzi się rozmowy z ludźmi podobnymi do niej, którzy lubią rozsiać się we własnej opowieści, potrafią myśleć obrazami, a opowiadanie historii przychodzi im bez problemu.

Wchodzę w rytm

Dobra historia jest konsekwencją dobrej rozmowy, a ta może odbyć się wyłącznie wtedy, gdy obie strony zrozumieją swoje intencje i wybiorą do dyskusji wspólny język. Tak właśnie było w czasie zbierania materiałów do książki *Błoto słodsze niż miód. Głosy komunistycznej Albanii*. Rejmer opowiedziała, w jaki sposób przygotowuje się do rozmów ze swoimi bohaterami i dlaczego tak ważne jest wsłuchanie się w drugiego człowieka. To od uważności i umiejętności obserwacji zależy, czy spotkanie będzie mogło mieć swój finał na stronach książki. Autorka przyznała, że zdarzyło jej się nawet ubrać podobnie do swojego rozmówcy – był to wyraz jej umiejętności współodczuwania i być może reporterska umiejętność inscenizowania sytuacji tak, by rozmówca miał ochotę opowiedzieć więcej i uważniej.

Nie jestem reporterką

To dość zaskakujące, ponieważ najczęściej nazwisko Rejmer wymienia się w czołówce polskich reporterek młodego pokolenia. Autorka książek o Rumunii i Albanii podkreśla jednak, że woli być nazywana pisarką niż reporterką, ponieważ czuje się pisarką. Książki, które wydało Wydawnictwo Czarne, nie były projektami na reportaże – były projektami na pewien etap życia autorki i nie zakładała, że z pewnością ze swoich wyjazdów wróci z materiałami na książkę. To bardzo ciekawa uwaga, która rzadko pada w rozmowach z pisarzami i którą warto zapamiętać – czasami wspaniałe książki powstają jako wypadkowa ważnych życiowych decyzji i nie zawsze dyktowane są ścisłym planem wydawcy.

Wszystkie kobiety Rejmer

Jak z pewnością Państwo zauważyli, większość bohaterów książek Rejmer to mężczyźni. Ten stan rzeczy wynika jednak nie z tego, że autorka tak dobierała bohaterów swoich opowieści, ale z charakteru okoliczności, w których one wybrzmiewały. – Kobiety w Albanii wciąż są społecznie wycofane, ich głos nie ma tej wagi i tembru, co głosy mężczyzn – wyjaśniła Rejmer. Czy więc można

”

Kobiety w Albanii wciąż są społecznie wycofane, ich głos nie ma tej wagi i tembru, co głosy mężczyzn.

powiedzieć, że głosy komunistycznej Albanii to głosy mężczyzn? Otóż nie. Każda opowieść o ludzkim cierpieniu zawiera w sobie relacje wypowiedziane oraz te, których nie można było wydobyć, nazwać czy zapisać. Te przemilczane często mają dużo większą wagę. Tak właśnie było w przypadku kobiet, z którymi rozmawiała autorka. Albania to kraj zawieszony wciąż w specyficznej izolacji, milczeniu, które dotyka głównie kobiet. Ich zwierzenia, często szczątkowe, wypowiedziane mimowolnie lub w formie niedomówień, są bardzo ważnym głosem czasów albańskiego komunizmu.

Podczas spotkania padło również ważne stwierdzenie: Jest być może właśnie tak, że cały system albańskiego cierpienia, system społecznych klasyfikacji i podziałów został utkany w taki sposób, by zasznurować usta kobietom. Do dziś albańskie feministki, aktywistki czy po prostu kobiety, które chcą mówić o swoich trudnych doświadczeniach i sytuacji, w której się znalazły, są traktowane przez społeczeństwo z niezwykłą wrogością i agresją. Rejmer przytoczyła przykład swoich przyjaciółek, które zdecydowały się na uczestnictwo w publicznej debacie na temat kondycji kraju: po ich publicznych wystąpieniach spadła na nie niezwykle silna fala agresji i wrogości. – Żal mi moich dziewczyn – podkreśliła ze smutkiem pisarka.

Są tematy, których nie ma

Autorka reportażu opowiedziała również o próbach dotarcia do społeczności kobiecych w Albanii i trudnościach, z którymi spotyka się do tej pory. Tematy tak trudne jak małżeńskie gwałty, podziemie aborcyjne czy seksualność kobiet do dziś są tematami tabu, niewystępującymi w przestrzeni publicznej. System nastawiony na niszczenie kobiecej solidarności i więzi zebrał więc okrutne żniwo – współczesne albańskie kobiety nie czują się ważne ani potrzebne poza komórką rodzinną. Jednocześnie w czasie wykonywania obowiązków domowych – razem sprzątają, piorą, gotują. Ale nie opowiadają sobie, nie wymieniają się doświadczeniami. Te smutne refleksje powinny zostać z nami na dłużej i kiedy czytamy książki takie jak *Błoto słodsze niż miód*, warto zastanowić się, czego w nich nie opowiedziano i dlaczego wciąż istnieją tak ogromne dysproporcje w tym, co zrelacjonowane i zapisane, a tym, co niewypowiedziane. Cisza bywa wyrazem najboleśniejszego krzyku.



fot. Bogna Kociumbas

Mary Wollstonecraft byłąby na Twitterze – debata o brytyjskim feminizmie

⇒ [Julia Kapała](#)

O historii brytyjskiego feminizmu i jej dwóch przedstawicielkach – Mary Wollstonecraft i Virginii Woolf – dyskutowali goście ostatniego dnia festiwalu w Państwowej Galerii Sztuki. O pisarkach, dzielących ich różnicach oraz tym, w jaki sposób ich twórczość wpłynęła na nurt feministyczny opowiadały znawczynie ich twórczości – Charlotte Gordon i Laura Marcus.

Prowadząca spotkanie Magdalena Heydel zaznaczyła, że nie ma ono na celu porównania twórczości oraz życia Wollstonecraft i Woolf czy tego, która z nich była ważniejsza, ale skupi się na podsumowaniu tego, w jaki sposób dziedzictwo tych dwóch wybitnych kobiet wpłynęło na rozwój myśli feministycznej oraz w jaki sposób może nam pomóc zrozumieć pozycję kobiet dzisiaj.

Charlotte Gordon na wstępie zaznaczyła, że nie jest w stanie o Wollstonecraft mówić mało. Istotnie, amerykańska badaczka zasypywała zgromadzoną publiczność informacjami i anegdotami z jej życia. Opowiadała o jej fatalnej reputacji i o tym, w jaki sposób jej styl życia dyskredytował ją jako pisarkę. Mówiąc o buncie i złości kobiety tworzącej w osiemnastowiecznej Wielkiej Brytanii, podkreśliła, że wielkie postaci, szczególnie te wyklęte z takich czy innych powodów, są często wymazywane z kart historii, dlatego niezwykle ważne jest, aby na nowo badać historię literatury. Laura Marcus wprowadziła publiczność w świat dzieciństwa i dorastania Woolf. W przeciwieństwie do Wollstonecraft pochodziła ona z inteligentnej rodziny, która, choć wspierała jej pisarskie aspiracje, to nie zapewniła akademickiego wykształcenia.

Pojawił się też temat buntu. Twórczość tych wybitnych kobiet narodziła się ze sprzeciwu wobec niesprawiedliwości otaczającego ich świata. Zapytana o kwestię edukacji Woolf Laura Marcus odparła, że brak pełnego akademickiego wykształcenia (Woolf chodziła na kursy niemieckiego i historii) pozwolił jej na pisarstwo wolne od ograniczeń narzucanych przez akademickie standardy. Wollstonecraft w swojej pierwszej książce *Edukacja córek* wyraziła pogląd, że edukacja kobiet musi być traktowana poważnie, ponieważ to one rodzą dzieci, które stają się potem częścią społeczeństwa. – Prawa kobiet to prawa człowieka – powiedziała Charlotte Gordon, przytaczając słynny slogan. – To jest właśnie przesłanie Wollstonecraft.

Jak Wollstonecraft byłąby postrzegana dzisiaj? Takie właśnie pytanie padło ze strony publiczności. Charlotte Gordon odparła, że byłąby wygadana i aktywna na Twitterze, a prezydent USA na pewno by jej nienawidził, dlatego ona uwielbia ją jeszcze bardziej.

”

Wielkie postaci, szczególnie te wyklęte z takich czy innych powodów, są często wymazywane z kart historii, dlatego niezwykle ważne jest, aby na nowo badać historię literatury.



fot. Bogna Kociumbas

Wiara w Boga pomogła mi odzyskać tożsamość – spotkanie z Ntailan Lolkoki

⇒ [Aleksandra Chmielewska](#)

16 sierpnia księgarnia Smak Słowa dosłownie pękała w szwach. Ludzie młodzi i starsi, kobiety i mężczyźni, wyrażni znawcy tematu i ci, którzy przyszli prosto z plaży, tłoczyli się w Księgarni. Do Sopotu przyjechała niezwykle postać: Ntailan Lolkoki, autorka książki *Skrzydła dla motyla*, która przeszła rytualne obrzezanie, a następnie poddała się operacji rekonstrukcji łechtaczki.

Lolkoki wiele uwagi poświęciła opisom swoich niepowodzeń i frustracji na polu seksualnym związanych z wieletnim brakiem możliwości przeżywania przyjemności. Masajka opowiadała o tym, jak nie czuła nic podczas stosunku i jak dotkliwie było poczucie rozłączenia z własnym ciałem, a jednocześnie presja, by tę przyjemność udawać. – Proszę was, nigdy nie udawajcie orgazmu – zaapelowała do żeńskiej części publiczności. Wyjątkowo ciekawa była wypowiedź Lolkoki poświęcona poszukiwaniu własnej tożsamości. Masajka stwierdziła, że utrata części łechtaczki boleśnie wpłynęła również na jej szeroko pojęte poczucie własnego ja, które się rozmyło. – Czułam się nikim – podkreślała wielokrotnie.

Od religii do seksu. Poszukiwanie sensu

Masajka opisywała, w jaki sposób przyjęcie wiary chrześcijańskiej, poczucie, że jest dzieckiem Boga, pomogło jej odzyskać siebie i sens życia. Opowiadała też o tym, jak do operacji rekonstrukcji łechtaczki zachęcił ją mężczyzna, którego kochała. Niezwykle poruszające były wyznania, jak wiele cierpliwości okazywał jej ukochany, a z drugiej strony, jaką złość i frustrację odczuła, gdy okazało się, że operacja jest niemożliwa ze względu na zbyt dużą część łechtaczki, którą należałoby zrekonstruować i związane z tym niebezpieczeństwo uszkodzenia układu nerwowego. Ostatecznie, gdy udało się przeprowadzić taką operację w Berlinie, Lolkoki przeżyła coś w rodzaju eksplozji seksualności. Masajka opisywała, jaka mnogość nowych bodźców i doznań nagle stanęła przed nią otworem. Przed tym, żeby iść do łóżka z każdym napotkanym mężczyzną powstrzymywała ją właśnie chrześcijańska moralność i przeświadczenie, że seks należy uprawiać dopiero po ślubie.

Nie czyń drugiemu, co tobie nie miłe

Kenijska pisarka wypowiadała się też na temat społecznych konsekwencji bycia okaleczoną. Mówiła o tym, że takie kobiety borykają się z odrzuceniem, z jednej strony ze względu na kłopoty z higieną i nieprzyjemny zapach, a z drugiej, co być może jest jeszcze bardziej bolesne, z powodu zwyczajnego maczystowskiego przekonania, że taka kobieta jest niepełnowartościowa. Lolkoki podkreśliła, że mężczyźni są w tych kwestiach dużo bardziej niewydurowani od kobiet. – Pytam czasami mężczyzn: czy poślubilibyście kobietę, która została obrzezana? Odpowiadają, że nie. Wtedy pytam ich: a czy zgodzilibyście się, żeby wasz penis został rozcięty na pół? Nie? No właśnie! Tu was mam!

Krzywda wyrządzona na całe życie

Ponieważ czas naglił, nie padło zbyt wiele pytań z sali, ale jedna z pań podzieliła się dość kontrowersyjną historią, a mianowicie, że usłyszała kiedyś, że obrzezanie, owszem, może wpłynąć negatywnie na jakość życia seksualnego kobiety, ale może też zadziałać wprost przeciwnie, przynosząc jej dodatkową satysfakcję. – Czy to prawda, że może być i tak, i tak? – zapytała. – Jestem oburzona, że ktoś rozpowszechnia tego rodzaju przekonania! – odpowiedziała Lolkoki. – To oczywiście manipulacja. Obrzezanie kobiety jest złe, złe, złe!

To była ostatnia i jakże wymowna wypowiedź kenijskiej pisarki podczas spotkania. Jestem przekonana, że wszyscy, którzy mimo niełatwych warunków wytrwali do końca, nie mają już najmniejszych wątpliwości, że okaleczanie kobiecych narządów rozrodczych to wyrządzanie kobietom ogromnej krzywdy, której reperkusje ciągną się za nimi niekiedy do końca życia.



fot. Bogna Kociumbas

Zepsuta lalka ludzkich rozmiarów

⇒ [Ula Rybicka](#)

Ostatniego dnia festiwalu odbyło się spotkanie z poetką Barbarą Klicką, które – przewrotnie – było poświęcone jej debiutowi prozatorskiemu. **Zdrój to powieść, która budzi niepokój oraz skłania do zadawania pytań o to, na ile człowiek może sam o sobie decydować.**

Akcja powieści Klickiej toczy się w uzdrowisku, do którego przybyła główna bohaterka. Michał Nogaś zaczął więc spotkanie od pytania o cechy miasta sanatoryjnego, ponieważ Sopot mógłby być jednym z nich, a my – uczestnicy spotkania autorskiego – podążając śladem bohaterki *Zdroju*, moglibyśmy być kuracjuszami.

Bawmy się

Wzmocniony puls życia, usystematyzowanie rytmu dnia, infantylicyzacja rozmów oraz to, że czas w uzdrowiskach płynie nieco inaczej niż w dużych miastach, to tylko niektóre z cech, które wymieniła pisarka. Choć, jak podkreśliła, być może najbardziej rozpoznawalnym wyznacznikiem jest umiłowanie do zabawy. Zważywszy na to, że uczestnikami potańcówek, schadzek i dancingów są osoby starsze i schorowane, tym donioślejszego znaczenia nabierają imprezy, które są silnym przejawem chęci życia. Życia, które się kończy. Podobnie jak w *Wiśniowym sadzie* Antoniego Czechowa – katastrofę musi poprzedzić piękny bal.

Absurdy i anegdoty

Mimo że rozmowa z pisarką była poświęcona absurdom i anegdotom z życia w uzdrowisku, to tylko w jednym momencie i niemal na marginesie autorka *Zdroju* przyznała, że jej książka wcale nie opowiada o sanatorium i wcale nie jest tak zabawna, jak by mogło się wydawać. Klicka stwierdziła, że humor jest idealnym narzędziem do opowiadania historii, nawet tych tragicznych. Korzystając z dorobku klasyki literatury światowej, pisarka starała się przemycić ponadczasowe przesłanie, osadzając fabułę w fikcyjnym ośrodku, jednak to nie czas i miejsce akcji są w powieści najważniejsze. Przyznała także, że jedną z inspiracji była *Czarodziejska góra* Tomasza Manna, która jest powieścią o kondycji Europy, a nie tylko i wyłącznie zapisem rutynowego rozkładu dnia mieszkańców uzdrowiska.

Wyuczona bezradność

Uzdrowisko w oczach Klickiej nie jest rajem na ziemi. Perspektywa narratorki odsłania wszystkie najgorsze mechanizmy panujące w ośrodku. Opresyjność sanatorium wdziera się do każdej tkanki życia i ciała bohaterki, a ona poddaje się temu systemowi, nawet przez chwilę nie próbując z nim walczyć. Jej bezradność jest konsekwencją tego, że jako dziecko też spędzała tygodnie w podobnych ośrodkach, gdzie pożądane i nagradzane jest posłuszeństwo. Klicka podczas spotkania była tajemnicza i żartami zbywała grozę pojawiającą się w jej

powieści. Nie chciała podpowiedzieć, czego metaforą mogłoby być opisywane przez nią sanatorium. Wskazała jedynie trop – to opowieść o tym, jak indywidualizm zderza się z kolektywem. Interpretacja należy do czytelników.

”

Podobnie jak w Wiśniowym sadzie Antoniego Czechowa – katastrofę musi poprzedzić piękny bal.



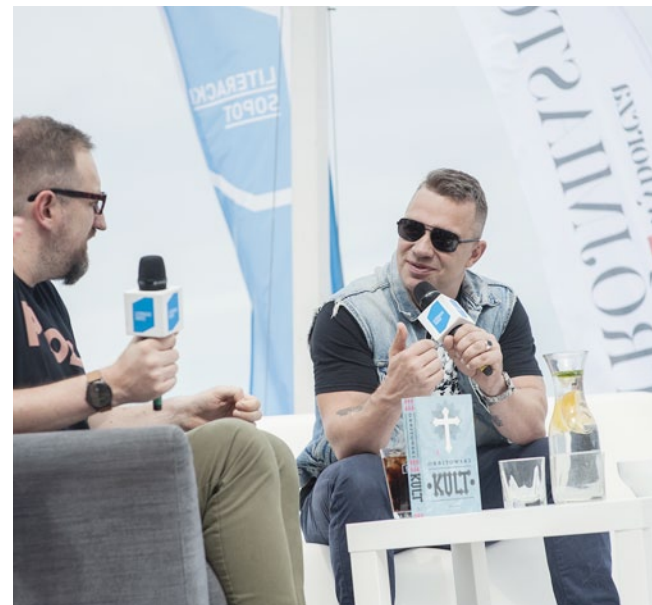
fot. Bogna Kociumbas

Objawienia mimo chmur – spotkanie z Łukaszem Orbitowskim

⇒ [Natalia Soszyńska](#)

Jest na świecie kilka rzeczy pewnych: dzieci dorastają za szybko, czasu na książki jest za mało, a na spotkania prowadzone przez Michała Nogaśa zawsze przyjdą tłumy czytelników niezależnie od pogody.

Łukasz Orbitowski opowiedział słuchaczom o tym, jak powstawał *Kult*, czyli jego najnowsza powieść. Pomysł na nią urodził się ponad dwadzieścia pięć lat temu, gdy pisarz przyjechał do Oławy odwiedzić przyjaciela. To wtedy dowiedział się o historii Henryka Domańskiego, prostego człowieka, któremu podczas podwiązywania gałęzi pomidorów ukazała się Matka Boska.



fot. Bogna Kociumbas

Wyszedł po pomidory i nie wrócił do tej pory

Orbitowski nosił w sobie tę historię przez wiele lat, nim zasiadł do pracy. Był przekonany, że historia oławskiego heretyka została spisana i wydana w postaci książki. Kiedy dowiedział się, że takiej nie ma, postanowił sam zabrać się do pracy i przywrócić Henryka Domańskiego polskiej świadomości. Resztę znamy – *Kult* cieszy się ogromną popularnością i wszystko wskazuje na to, że jeszcze długo będzie o nim głośno.

Nie wierzę w Boga, wierzę w ludzi

Pisarz przyznał, że uważa *Kult* za swoją najbardziej dojrzałą powieść. Doświadczenia zebrane z poprzednich książek i czas, jaki upłynął, pozwoliły mu spojrzeć na swoich bohaterów inaczej niż zazwyczaj. *Kult* to książka napisana z dużą sympatią i zrozumieniem zarówno dla losów bohaterów, jak i wyznawanych przez nich idei. Jest opowieścią pełną poczucia humoru i Haśkowej atmosfery absurdu. Sam pisarz deklaruje się jako ateista, który wierzy w autentyczność i szanuje przekonania takich bohaterów jak Henryk.

Jeremiasze, Mateusze i pan Bolo

Michał Nogaś zwrócił uwagę na ważny aspekt *Kultu*. W powieści aż gęsto od wymyślonych przez Orbitowskiego pojęć. Najzabawniejszymi są zdecydowanie Jeremiasze – wyznawcy Henryka i Mateusze – obstawa i ochrona. Pisarz oczywiście sięgnął do postaci biblijnych i nadał im współczesnego sznytu. Poza nimi przez opowieść przewija się masa niezwykłych bohaterów: narrator to brat Henryka, fryzjer Zbyszek, który lubił „mieć sprawy z kobietami”, pan Bolo – kombinator i małomiasteczkowy biznesmen handlujący nagraniami z głosem Jasnej Panny, pani Żanetka, samozwańcza zakonnica, Poldek, którego Henryk wyleczył z rany po ataku koguta. Są postacie fantasmagoryczne i zupełnie prawdziwe, absurdalne i śmiertelnie poważne. Jest zabawnie i smutno. Jest nawet Mariusz Szczygiet.

Co po Kulcie?

Orbitowski przyznał, że pracuje obecnie nad zbiorem opowiadań, który powinien ukazać się już w przyszłym roku. Czy będą to opowiadania o mrocznych polskich miastach (tutaj aż trudno by nie wspomnieć o grzesznym mieście Piła – odsyłam Państwa do *Kultu*), a może to coś z półki fantasy? Tego nie wiemy, pisarz nie zdradził żadnych szczegółów.

Człowiek zamrożony w dychotomii świata – spotkanie z Martą Herling i Jarosławem Mikołajewskim

⇒ [Magdalena Bojanowska](#)

Mimo że tematem przewodnim tegorocznej edycji Literackiego Sopotu jest Wielka Brytania, to w sobotnie popołudnie czytelnicy mieli szansę udać się w nieco inną stronę – pod Wezuwiusz. Tam bowiem większość swojego życia spędził Gustaw Herling-Grudziński, wybitny pisarz i krytyk literacki, któremu poświęcone było spotkanie z Martą Herling i Jarosławem Mikołajewskim.

Marta Herling na co dzień mieszka w Neapolu i opiekuje się spuścizną po ojcu. – Losy włoskie ojca na pewno są ważnym tematem i trzeba je rekonstruować – powiedziała. – Pierwszy jego pobyt we Włoszech miał miejsce już w czasach wojny. Był w Armii Andersa. W 1952 roku Herling-Grudziński przeniósł się na stałe do Włoch i w Neapolu mieszkał do śmierci w 2000 roku.

Miasto wygnania

Córka pisarza podczas spotkania opowiedziała o tym, jak poznali się jej rodzice oraz jak to się stało, że po tragicznych wydarzeniach (pierwsza żona Herlinga-Grudzińskiego popełniła samobójstwo) pobrali się. – Ojciec nie chciał zostać w Monachium z mamą jako dwoje emigrantów, dlatego pojechali do Neapolu – wyjaśniła. – On nigdy nie mógł się z tym Neapolem pogodzić. To zawsze było dla niego miasto wygnania – powiedział prowadzący spotkanie Piotr Kieżun. Marta Herling dodała, że jego stosunek do tego miasta objawiał się w dwojaki sposób: był nim zafascynowany i było ono dla niego źródłem inspiracji, ale również symbolem samotności i trudności. – Jednak pod koniec życia pogodził się z Neapolem i zaufał mu – powiedziała.

Człowiek opuszczony i okaleczony

Jarosław Mikołajewski, poeta i reportażysta, opowiedział o tym, jak po raz pierwszy zetknął się z twórczością Herlinga-Grudzińskiego. – To było bardzo piękne spotkanie podczas mojego pierwszego wyjazdu do Włoch w 1978 roku. Miałem wtedy 18 lat. Wygrałem konkurs po zakończeniu Liceum im. Stefana Batorego w Warszawie i pojechałem do Sieny. Trafiłem do Rzymu, do franciszkanek i pamiętam, że tam były różne numery „Kultury”. Czytałem w nich m.in. właśnie Herlinga-Grudzińskiego – powiedział pisarz. Kiedy mieszkał we Włoszech, dom Herlinga-Grudzińskiego znajdował się niedaleko. Bardzo

chciał się z nim spotkać, ale nigdy nie odważył się zapukać do drzwi. Później żałował, że tego nie zrobił. – Mam to sobie za złe. Odkryłem jedną, bardzo ważną rzecz: często ludzie wielcy, do których nie ośmielamy się podejść, czują się opuszczeni. I tego sobie nie można darować – wyznał Mikołajewski.

Poeta przeczytał jeden z zapisków sekretnego *Dziennika 1957–58*. – Teraz dopiero zdaję sobie sprawę z tego, że pisał to człowiek szalenie okaleczony, zamrożony w tej dychotomii świata, w tym podziale na stronę dobrą i złą i że tak naprawdę to, czego mi zawsze w jego prozie brakowało, to takiego współczucia dla człowieka, który upadł, dla człowieka, który popełnił jakieś zło – powiedział.

Dziennik pisany w Polsce

Jarosław Mikołajewski zapytał Martę Herling o dziennik, który ona napisała dla ojca. Córka pisarza opowiedziała, jak w czasie pierwszej wizyty w Polsce, bardzo dla nich wzruszającej, ojciec poprosił ją, aby codziennie notowała swoje wrażenia i obserwacje. – On potrzebował mieć takie świadectwo, ale to także dla mnie było ważne. Mój dziennik jest o Polsce takiej, jaką ją widziałam – wyjaśniła Marta Herling. – Kiedy wróciliśmy do Neapolu, ojciec nie chciał go czytać, ale chciał, żebym ja czytała jemu i to był taki nasz rytuał co wieczór. Wyznała, że być może ten dziennik także kiedyś zostanie wydany.

Co tak naprawdę wiesz o Frankensteinie?

⇒ [Klaudia Czaboryk](#)

Czy rozwój nauki i technologii naprawdę poprawia nasze życie? Czy ludzka ciekawość zawsze prowadzi do genialnych odkryć? A jeśli nie, to czy łatwo jest się przyznać do błędu i pogodzić z negatywnymi skutkami swoich czynów? O tym wszystkim dyskutowano podczas debaty o micie Frankenstein.

W czwartek w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie odbyło się spotkanie *Wokół Frankenstein* Mary Shelley – współczesne odczytania mitu. W dyskusji wzięli udział Lisa Vargo (profesor języka angielskiego na University of Saskatchewan), Eileen Hunt Botting (profesor nauk politycznych na Uniwersytecie Notre Dame w USA) oraz Grzegorz J. Nalepa (profesor nauk technicznych specjalizujący się w sztucznej inteligencji). Podczas debaty między innymi omawiano innowacyjność powieści Mary Shelley, która napisała *Frankenstein*, mając zaledwie 19 lat. Zastanawiano się też nad rolą tej młodej pisarki w twórczości science-fiction.

Różne punkty widzenia

Rozmówcy podkreślali, że błędnie łączy się nazwę Frankenstein z monstrem, gdyż Frankenstein to nazwisko naukowca-filozofa, który stworzył bezimienną kreaturę, później mylnie nazywaną jego nazwiskiem. Nawiązano również do trudnej relacji, która rodzi się pomiędzy twórcą a jego dziełem, niespełniającym jego wymagań i wymykającym się spod kontroli, czyli do *blowback problem* (niechciane negatywne skutki naszych czynów). Rozważania na temat książki Shelley skłoniły do myślenia o tym, czy aby na pewno nauka i technologia zawsze czynią nasze życie lepszym, czy chęć ingerencji człowieka w przeróżne aspekty życia posiada tylko pozytywne skutki, czy raczej może doprowadzić do tragedii.

Wiecznie aktualna?

Eileen Hunt Botting pokazała też, że powieść można interpretować pod innym kątem, bo jest to także historia o poszukiwaniu samego siebie, o poszukiwaniu szczęścia i swojego miejsca, o problemach, które spotykają kogoś, kto nie wie, kim tak naprawdę jest i skąd pochodzi. To chyba właśnie różnorodność poruszanych tematów sprawia, że książka Shelley pozostaje aktualna. Dlatego też za zakończenie Lisa Vargo zachęcała do przeczytania polskiej wersji powieści i odkrycia samemu, co w niej jest, bo jak stwierdziła, być może nie jest to najlepiej napisana książka, ale na pewno warto ją przeczytać.

fot. Bogna Kociumbas



Chciałem opowiedzieć długą historię

⇒ [Aleksandra Suchecka](#)

Władca pierścieni J. R. R. Tolkiena jest siódmą najlepiej sprzedającą się książką, została przetłumaczona na czterdzieści języków. Skąd wynika popularność brytyjskiego pisarza? Odpowiedź na to pytanie mogliśmy usłyszeć podczas jednego z festiwalowych spotkań.

Trzeci dzień festiwalu otworzyła debata poświęcona sylwetce Tolkiena – jednego z najchętniej czytanych pisarzy w dziejach literatury. W rozmowie wzięli udział literaturoznawcy oraz badacze twórczości brytyjskiego pisarza – Katarzyna Mroczkowska-Brand i Michał Leśniewski. Spotkanie moderował Szymon Pindur. Debatę rozpoczęło wspomnienie prof. Mroczkowskiej-Brand o ojcu – Przemysławie Mroczkowskim, który przyjaźnił się z Tolkienem. Owocem relacji obu anglistów była korespondencja, dzięki której możemy przyjrzeć się również nieliterackiej, intymnej sylwetce pisarza. – Tym, co połączyło ojca z Tolkienem, była przede wszystkim miłość do średniowiecza, starej literatury i języka oraz dbałość o performatywny aspekt tekstu – wspomniała Mroczkowska-Brand. Dodała też, że wiązała ich także niechęć do etykietowania literatury i hierarchizowania jej według gatunków.

Wątkiem przewodnim spotkania było pytanie, dlaczego powieści Tolkiena są tak poczytne (ponad 150 milionów sprzedanych egzemplarzy). Słuchacze dowiedzieli się między innymi, że tym, co odróżnia autora *Władcy pierścieni* od innych pisarzy fantasy, jest przede wszystkim ponadgatunkowość i ponadnarodowość. Na unikatowość Tolkiena składają się cztery elementy: jakość języka, tworzenie mitu, który ma sens, suspens i tajemnica, a także sama konstrukcja opowieści – podsumowała Mroczkowska-Brand. Michał Leśniak zwrócił natomiast uwagę na inny, bardzo ważny element powieści – bohaterów, których pierwowzorem są zwykli ludzie: Hobbitem jest każdy z nas, wszyscy mogą utożsamić się z Bilbo Bagginsem, który ma trochę nadwagi i czasami mu się nic nie chce. Sobotnie spotkanie w Sopocie było doskonałym dowodem, potwierdzającym tezę, że Tolkien jest nie tylko ojcem fantastyki, ale także jej królem.



fot. Bogna Kociumbas

Wychodzić czy nie, oto jest pytanie. Brexit i jego konsekwencje

⇒ [Julia Kapoła](#)

Nieczęsto zdarza się na Literackim Sopocie, żeby prelegenci podczas debaty znaleźli się w niemal zupełnej opozycji do publiczności. Pamiętamy przecież różne dyskusje, podczas których publiczność niejednokrotnie wchodziła w polemikę z gośćmi, jednak debata *Obywatelstwo w epoce Brexitu i swobodnego przepływu osób i towarów* wywołała raczej niespodziewaną reakcję.

Wydźwięk zapowiedzi debaty napisanej przez jej moderatora, Alastaira Donalda, wyraźnie wskazywał, że będą w niej dominować głosy zróżnicowane, a nawet niepopularne w środowiskach związanych z ideą Literackiego Sopotu. Wraz z nim na scenie zasiedli Madeline Grant, zastępczyni działu szefa komentarzy „The Telegraph”, dr James Panton – wykładowca polityki, filozofii i historii myśli na wydziale kształcenia ustawicznego w Oxfordzie oraz pisarz i konsultant polityczny Max Wind-Cowie. Debatę odbyła się niestety bez Piotra Witwickiego z Polsat News, którego sprawy zawodowe zatrzymały w Warszawie. Dyskusja rozpoczęła się od krótkiego wstępu, po którym uczestnicy przedstawili swoje stanowiska dotyczące brexitu i kwestii obywatelskości. Stosunek był 2:1 dla wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej, przy czym Wind-Cowie sygnalizował, że – choć głosował za pozostaniem we wspólnocie – określa siebie jako *reluctant remainer*.

Brytyjskie wartości

Madeline Grant mówiła o tym, że referendum z roku 2016 udowodniło, że Brytyjczycy są przywiązani do brytyjskich wartości i że należy wrócić do stanu, w którym ludzie czują, że mają kontrolę nad własną demokracją. Dodała również, że właśnie wtedy obywatele są bardziej otwarci na przyjmowanie imigrantów. Wind-Cowie przekonywał, że obywatelstwo oznacza, że „twój kraj kocha cię bardziej od innych i vice versa”. Panton, przedstawiający się jako radykalny demokrat, odniósł się z kolei do kwestii granic oraz ich znaczenia. Przywołał w swojej wypowiedzi słowa Jean-Claude’a Junckera, który powiedział kiedyś, że granice narodowe są najgorszym wynalazkiem w historii. Zdaniem Pantona są natomiast niezbędnym elementem politycznej wolności, wypadkową rozwoju historycznego i społecznego, a solidarność społeczna jest możliwa tylko i wyłącznie w obrębie granic. Przywołał cytowaną również w zapowiedzi wydarzenia Hannah Arendt, która pisała, że „nikt nie może być obywatelem świata tak, jak jest obywatelem swojego kraju”. – Od samego początku Unia Europejska była stworzona po to, aby ograniczać suwerenność państw członkowskich – powiedział Panton i myślał, że ten cytat trafnie podsumowuje to, co chciał przekazać podczas piątkowej debaty.

Demokracja nieidealna

Powtarzającym się elementem w wypowiedziach uczestników był zarzut, że unijni urzędnicy nie są wybierani demokratycznie, w związku z czym proces ten jest daleki od demokracji. Brexit zdaniem Pantona natomiast ma być swoistym, demokratycznym „odnowieniem”. Dwa lata temu w dyskusji na temat stanu polskiej demokracji w tej samej sali padły słowa, że lepsza jest demokracja nieidealna niż brak demokracji. Wind-Cowie powiedział, że Unia Europejska nie jest idealna, jest pełna sprzeczności, ale zupełnie zasadnym jest pójście na pewne kompromisy w kwestii suwerenności w imię wspólnego dobra.

Obserwując wypełnioną, choć nie po brzegi, salę Państwowej Galerii Sztuki, zauważyłam przeczące kręcenie głowami, zdziwienie i konsternację wśród publiczności. I to właśnie pytania widowni, jak to zwykle bywa na festiwalu, były najciekawszą częścią tego spotkania. Pierwszy komentarz wywołał salwę oklasków. Zwracając się do panelistów w języku angielskim, mężczyzna powiedział: Wy chcecie wyjść z Unii Europejskiej, żeby ratować swoją demokrację. My jesteśmy w Unii, aby utrzymać naszą demokrację.

Dez(integracja)

Publiczność zdawała się kompletnie nie zgadzać z zarzutem, że Unia Europejska ogranicza wolność państw narodowych. Wyglądało to tak, jakby zgromadzeni w sali słuchacze próbowali przekonać prelegentów, żeby się ocknęli. – Jaką będziemy mieli siłę w świecie, jeżeli stanimy się zbitkiem niezależnych małych państweczek? – pytała słuchaczka. Nie zabrakło też uznania dla charakteru dyskusji, jako że w Polsce rzadko można posłuchać w tego typu debacie głosów wspierających dezintegrację Unii Europejskiej. Dyskusja, choć w pewien sposób kontrowersyjna, była dobrym przykładem tego, że można różnić się w poglądach, ale traktować swoich rozmówców z szacunkiem i do końca wysłuchać ich argumentacji. Myślę, że to była największa zaleta tej debaty. Różnorodność, która prowokuje i zostaje w głowach jeszcze długo po dyskusji. To jest właśnie wartość dodana Literackiego Sopotu.



fot. Bogna Kociumbas

Éric-Emmanuel Schmitt na scenie

⇒ Dominika Prais

Gościem specjalnym tegorocznej edycji festiwalu był francuski pisarz i dramaturg Éric-Emmanuel Schmitt. Miłośnicy jego twórczości mieli wyjątkową okazję poznać go nie tylko w roli autora licznych powieści, ale i aktora.

W Sali Balowej Grand Hotelu pisarz wystąpił w monodramie *Madame Pylinska i sekret Chopina* na podstawie jego książki o tym samym tytule. Na scenie towarzyszył mu pianista polskiego pochodzenia Nicolas Stavy, który z wirtuozerią wykonał utwory Fryderyka Chopina. Było to pierwsze wystawienie tej sztuki w Polsce.

Madame Pylinska i sekret Chopina jest dziełem inspirowanym życiem autora. Opowiada historię Érica, który jako dziewięcioletek zafascynował się muzyką Chopina. To ona skłoniła go do uczęszczania na lekcje gry na fortepianie i wytrwałego dążenia do jak najlepszego wykonywania utworów mistrza. Po przeprowadzce na studia postanowił kontynuować naukę. Tak trafił do tytułowej madame Pylinskiej – ekscentrycznej Polki, podobnie jak on rozmiłowanej w twórczości wielkiego kompozytora. Nauczycielka już od pierwszej lekcji zaskoczyła go metodami nauczania dalece odbiegającymi od tradycyjnych. Bywało, że nawet nie dopuszczała go do instrumentu, kazała mu za to zrywać kwiatki bez strącania rosy z ich płatków i obserwować tańczące na wietrze liście. Éric z czasem przekonał się, że celem madame Pylinskiej było nie tyle poprawienie jego umiejętności gry na fortepianie, co udzielenie mu życiowej lekcji. Dzięki niej nauczył się z większą wrażliwością i uważnością patrzeć na świat. Zrozumiał też, że jego droga prowadzi do świata literatury.

W monodramie *Madame Pylinska i sekret Chopina* obserwujemy Schmitta w różnych rolach. Raz jest dwudziestolatkiem zdziwionym instrukcjami przekazywanymi mu przez nauczycielkę, raz samą madame Pylinską. Dokonuje w ten sposób tego, co w literackiej i teatralnej działalności fascynuje go być może najbardziej – przyjmuje kobiecą perspektywę. I trzeba przyznać, że czyni to z talentem, wyczuciem i humorem. Jednocześnie autobiograficzny charakter sztuki sprawia, że nie patrzymy na niego jak na żonglującego rolami aktora, a jak na pisarza, który na naszych oczach uchyla rąbka tajemnicy swojej twórczości.

Zadomowione demony

⇒ Ula Rybicka

Drugiego dnia festiwalu odbyła się pierwsza część nurtu teatralnego na Literackim Sopot. W teatrze Boto uczestniczyliśmy w czytaniu performatywnym sztuki *Equus* w reżyserii Kuby Zubrzyckiego.

Equus to opowieść o okrucieństwie, przemocy i demonach tkwiących w człowieku. Główny bohater dramatu jest opętany religijną i seksualną fascynacją końmi, która prowadzi go do okaleczania zwierząt. Jednej nocy w przypływie impulsu oślepia aż sześć koni. Introwertycznego neurotyka poznajemy już po tych wydarzeniach, w ośrodku zamkniętym, gdzie pod okiem wybitnej lekarki odbywa terapię. Jak pomóc młodemu człowiekowi cierpiącemu na tak specyficzne i trudne do zdiagnozowania zaburzenie?

Psychiatra decyduje się zastosować terapię ustawień rodzinnych Berta Hellingera, podczas której wraz z inną lekarką odgrywa role rodziców nastolatka. To teatr w teatrze – tu role się przenikają, kwestie wybrzmiewają polifonicznie, a całość przeplata się wyjątkowo dynamicznie. Jak ten sposób terapii wpływa na lekarkę chłopca, która także jest wystawiona na konfrontację ze swoimi problemami? *Equus* to studium nie tylko indywidualnych demonów, lecz może przede wszystkim tych, które już od dawna zadomowiły się w strukturach kulturowych, społecznych oraz rodzinnych.

Brytyjski dramaturg Peter Shaffer znany jest głównie z genialnej sztuki *Amadeusz*, jednak na swoim koncie ma także wiele innych osiągnięć. Został m.in. dwukrotnie nagrodzony amerykańską nagrodą Tony oraz Oscarem i Złotym Globem. Na sopockiej scenie wystąpili Magdalena Boć, Sylwia Góra-Weber, Marek Puchowski i Kuba Zubrzycki w roli narratora.



Kim jesteśmy?

⇒ Aleksandra Suhecka

Caryl Churchill jest jak sejsmograf, który zapowiada nadchodzące wydarzenia. Jej spektakle przypominają sceny z obrazów Breugla – groteskowe i zniekształcone.

Ostatniego dnia goście Literackiego Sopotu mieli okazję wziąć udział w czytaniu performatywnym dramatu *Egzemplarz* w reżyserii Małgorzaty Brajner. Na scenie wystąpili: Krzysztof Gordon, Piotr Jankowski oraz wiolonczelista – Tadeusza Samarka. Części artystycznej towarzyszyła debata poświęcona twórczości Churchill, w której udział wzięli Michał Lachman i Małgorzata Semil – angliści i tłumacze. Spotkanie poprowadziła Aneta Kyzioł.

Egzemplarz jest historią relacji ojca ze sklonowanymi synami. Napisana w 2002 roku sztuka była reakcją na bardzo szybki rozwój inżynierii genetycznej, związany głównie ze sklonowaniem owcy Dolly. Poza tym *Egzemplarz* jest także traktatem o synostwie i ojcostwie oraz ich wzajemnej odpowiedzialności. Na Scenie Kameralnej Teatru Wybrzeże widzowie mieli okazję obejrzyć reprezentatywny dla twórczości Churchill spektakl inspirowany Beckettem, bazujący na dialogu, pozbawiony zasady decorum, a przede wszystkim pozwalający odczuć kontinuum naszych trosk i niepokojów.

Towarzysząca odczytaniu debata przybliżyła obecnym sylwetkę i twórczość Churchill, która podczas bardzo długiej, blisko pięćdziesięcioletniej kariery teatralnej nie napisała nigdy dwóch podobnych sztuk. Michał Lachman zwrócił uwagę na miejsce Churchill w historii dramatu, jej inspiracje, a także scharakteryzował słuchaczom inne dramaty autorki. Małgorzata Semil skupiła się zwłaszcza na metodzie twórczej Churchill, przybliżając uczestnikom idee teatru konwersacyjnego oraz tłumacząc, dlaczego dramaty autorki *Egzemplarza* są zaprzeczeniem teatru mieszczańskiego. Cała rozmowa, a także spektakl, pozwoliła określić Churchill jako jedną z najważniejszych współczesnych dramaturgów oraz stanowiła skuteczną zachętę do śledzenia jej twórczości, która może ułatwić nam konfrontację z problemami współczesnego świata.

fot. Bogna Kociumbas

Redaktor naczelna: Ula Rybicka

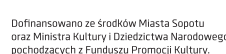
Zespół redakcyjny: Magdalena Bojanowska, Aleksandra Chmielewska, Klaudia Czaboryk, Paulina Frankiewicz, Julia Kapała, Dominika Prais, Natalia Soszyńska, Dominika Stańkowska, Aleksandra Suhecka

Korekta: Agnieszka Kochanowska

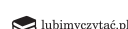
Projekt graficzny i skład: Anita Wasik

Napisz do nas: redakcja@literackisopot.pl

Wszystkie materiały objęte są prawem autorskim. Przedruk lub kopiowanie całości lub fragmentów materiałów możliwy jest wyłącznie za wcześniejszą pisemną zgodą wydawcy – Biblioteki Sopockiej.



patroni medialni:



partnerzy:



www.literackisopot.pl